



## TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

### PRENUMERATA „PRAWDY” (wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnośnieniem do domu.  
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5. Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracja Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

**TREŚĆ.** *Polityka:* Co dalej? — Kazańe po niewczasie p. H. A. — Tydzień polityczny. — Stronnictwa galicyjskie ruskie p. Hucule. — *Wiadomości:* Oblawa, obrachunek poleński p. Z. Pietkiewicza (Komara). — *Badania naukowe:* Neo historyzm w ekonomii politycznej p. dra W. Lewickiego. — *Homo sapiens ferus p. Mieczysława Kaufmana.* — *Literatura i sztuka:* Hody poświęcone I. p. Hirscha. — *Półgłosy:* Libero veto p. Posła Prawdy. — Na widoku p. K. Zbruckiego. — Pod mikroskopem p. Gęzysza. — O prawdziwe p. W. Kuszeła i K. Z. — Wyjaśnienie p. Zenona Pietkiewicza. — Kronika bieżąca. — Odpowiedzi redakcyi. — Ofiary. — Ogłoszenia.

### POLITYKA.

Pytanie: co dalej? — zajmuje dziś niemal wyłącznie prasę europejską a nawet służy za tytuł wielu jej artykułów. Wystąpiło ono nietytyle po mowie Salisburego lub Kalnekiego, ile po wyjeździe gen. Kaulbarsa i konsulatów rosyjskich z Bułgarii. Rzeczywiście, dopóki przedstawiciele Rosyi pozostawali na gruncie i porozumiewali się bezpośrednio z opornymi, można było tak lub inaczej wróżyć i mniamać, że taki stan rzeczy potrwa długo. Ale dziś niepewność obcina wszelkim domysłem skrzydła i każdy pyta jedynie: co będzie dalej? — a nikt nie daje odpowiedzi stanowczej.

Naturalnie pytanie to stawiają sobie również dzienniki rosyjskie. *Petersb. Wiedomosti* przewidują obrachunek Rosyi z właściwymi jej wrogami, którzy się ukryli po za naszą bułgarską. „Całoroczny ciąg przesilenia bułgarskiego — mówią one — przekonywa, że zarówno w osobie ks. Battenberga, jak w osobach jego tworców, Rosyi przeciwstawiają się nienasycone knowania angielskie, systematyczna nieprzyjaźń Austrii i arogancja gra Niemiec, które chcą nas osłabić, opłatać na Wschodzie kłopotami, niekosztującymi ich ani jednego żołnierza, ani jednej marki. W takich warunkach polityka nasza ma obecnie przed sobą dwie drogi: albo Rosya może przyjąć wskazane jej pole działania, tj. wprost zająć się odzyskaniem wydartego jej na półwyspie Bałkańskim stanowiska, posłać do Bułgarii silny korpus operacyjny i ująć mocno kraj, zgniebiony anarchią, aż do czasu przywrócenia tam porządku zgodnego z jej widokami; albo też zrzuci się teatru wojny wybranego przez przeciwników, pozostawiając Bułgarię własnemu

jej losowi, i zwrócić całą uwagę na stosunki europejskie, wymagające szybkiego i stanowczego podniesienia naszej powagi politycznej i wojennej, zaniechać układów z Sofią, przenieść się do Wiednia i tam wypowiedzieć to uroczyście słowo, które dlatego miało w Bułgarii skutek ograniczony, że było skierowane do aktorów, a nie do reżyserów sztuki politycznej.”

*Nowoje Wremia*, które po za tymi reżyserami wskazuje dyrektora i jego głównie pociąga do odpowiedzialności, woła: „Jeżeliby kiedykolwiek naród rosyjski mógł radować się z wojny, to właśnie tylko pod hasłem wojny z niemcami, a jeżeliby kiedykolwiek miał wytytyć wszystkie swoje siły, przełać wszystką swoją krew, to tylko w chwili — walki o niezależność od Niemca.”

Wojna — to straszylko chowane i wystawiane zwykle, kiedy prasa gubi kłoz, odmykający bodaj główne wrota polityki. Gdy dzienniki pocują zaostrenie się stosunków między państwowych a nie znają przebiegu starć, pokrywają swoją niewiadomość groźbami, które potem łatwo unieważnić jakimkolwiek wybiegiem. Stąd to obecnie tak często przewija się pod piórami wrocławskich gazeciarskich ów krwawy wyraz wojna, który tyle razy już czerwieńnił się i płowiał. Czytelnik nie ma litosć dla publicystów, zawsze i w każdym wypadku domaga się od nich objaśnień stanów rzeczy i woli najfantastyczniejsze niż wątpliwe. Prasa też nie szczędił przepuszczenia, a nawet oznaczonych zapowiedzi, ale między wierzącami jej proroców łatwo dostrzedz wyraźną niepewność — co dalej będzie.

Bez ryzyka wnioskować można, że spór o Bułgarię przejdzie teraz w sferę dyplomatyczną, w której prawdopodobnie dojdzie do końca. Nadzieję tę żywią również gazety rosyjskie, które ani na chwilę nie wątpią, że Rosya wpływ swój przeważny

na półwyspie Bałkańskim znów w dawnych lub rozszerzonych granicach odzyska. „Rosyjski kandydat do tronu bułgarskiego, ks. Mingrelii — piszą *Bird. Wiedomosti* — nie napotkał przeszkód ze strony żadnego mocarstwa europejskiego; obiór jego winien być dokonany przez zgromadzenia nowe, z nowych deputowanych złożone, przyczem nie będą mogły powtórzyć się zjawiska, które towarzyszyły wyborom poprzednim i wogóle terrorizm dzisiejszy ustąpić musi, a przywrócenie porządku w Bułgarii może i powinno odbyć się pod wspólnym naciskiem wszystkich mocarstw na obecnych przywódców i władzy. Jeżeli Europa nie życzyła sobie, ażeby to wszystko dopełniło się po pojedynczym uśłowianiami pełnomocnika rosyjskiego, Rosya nie nie hańbiła przeciwko temu, ażeby w wykonaniu jej programu uczestniczyła ona Europa. Nie o to wszakże chodzi; najważniejsza tu jest rzecz, że przy mocarstwie północnem musi zostać i zostanie przeważne znaczenie w Bułgarii, a warunki, przy których kandydat rosyjski wstąpi na tron, przedstawiają zapewne tę właściwość, że potwierdzenie się sprawek Aleksandra Battenberga będzie niemożliwem.”

Głos *Bird. Wied.* w obzór prasy rosyjskiej brzmi łagodniej, niż innych organów, nadających jej ton. Wszystkie jednak dzienniki, krzykliwie i cicho, daremnie pają się z pytaniem: co dalej?

„Polożenie jest trudnem; jeżeli interesy nasze zostaną obrażone, będziemy umieli nałożyć je obronić, ale dotychczas nie są one jeszcze dotknięte i mamy nadzieję, że póki do się nie utrzymają.”

Oto jest główny, niemal jedyny motyw wszystkich przemówień politycznych ostatniego czasu, przemówień, po których nie-

wtajemniczony ogół tak jest mądry, jak był przedtem. Tak dowodził Tisza, tak dowodził Smolka, Salisbury, a wreszcie ostatni Kalnoky, austriacki minister spraw zewnętrznych. Tylko coraz zabawniejszą jest ciekawość naiwnych dzieci, domagających się usilnie od piastunów powtórzenia bajki „o czapli na wysokich nogach.” Sto razy usłyszały ją one w jednakiem brzmieniu i po raz setny pierwszy wołają: „powiedźcie jeszcze.” Można serdecznie uśmieć się, patrząc, jak w parlamentach najciężkimi wnoszą interpelacje, jak minister opóźnia odpowiedź i zakreśla przez podwładne gazety, żeby go nie badano zbyt natrętnie, gdyż robota dyplomatyczna wymaga tajemnicy, jak wreszcie staje przed posłami narodu i mówi: „położenie jest trudnem, jeżeli interesy nasze”—itd.—jak wyeje.

Przynajmniej trzeba, że w objaśnieniach wydatniających się pewne różnice, zależne są one jednak nietylko od natury obecnego stanu sprawy bułgarskiej, ile od nastroju słuchaczów i względów ubocznych.

Jak zauważyliśmy w numerach poprzednich — Austrya chce zapuścić w naród głębiej pompę podatkową na cele wojskowe, trudno więc, żeby nie potrazała strachem. I ten wszelkie strach zmieszcza w banalną formułkę, z poszeru wyrażającą wiele, a w rzeczywiście — nie.

Bo rozpatrzmy główną ośnowę wywodów hr. Kalnokiego.

Według niego należy odgraniczyć interes bułgarów od interesu Europy a więc i Austrii. Pierwszy ma swobodę dla rozwoju w zakresie położenia wytworzonego wspólną zgodą monarchów, drugi zawiera się w utrzymaniu traktatu berlińskiego. Tradycja polityki Austro-Węgier nie jest zaojępną, nie pozwala im więc występować groźnie i w tym sporze, dopóki istnieją środki i nadzaje rozstrzygnięcia polubownego. Tradycja ta nakazuje, żeby organizmy państwowe, powołane do życia na półwyspie Bałkańskim przez traktat berliński, istniały i rozwijały się

samodzielnie. W czasie zaś, w którym kilka dni wystarcza do uruchomienia olbrzymich armij, rządy nie powinny zapominać o odpowiedzialności za spowodowanie takiej katastrofy. O co kwestyi rumelijskiej, minister mniema, że Austrya nie ma żadnego powodu opierać się zjednoczeniu Bułgarii. Traktat berliński przepowiedział i ją zatrzymał pod dawanem zwierznictwem, żeby Turcy umożliwili zapobieganie gwałtownym przewrotom na półwyspie; skoro ona jednakże nie skorzystała ze swych praw i nie stanęła w ich obronie, można też niedbalosć zalać, ale usunąć jej skutków niepodobna. „Rząd cesarsko-królewski będzie dążył do tego, aby słuszne życzenia bułgarów zostały uwzględnione: usuwał więc z drogi wszystko, co by miejscowy charakter przesielenia zmieniło na europejski.” Ostatecznie hr. Kalnoky wierzy, iż „pokojowe załatwienie obecnych trudności, bez naruszenia interesów Europy i Austro-Węgier, jest nietylko możliwem, ale nawet prawdopodobnem,” zwłaszcza przy „wzajemnych” stosunkach monarchii ze wszystkimi państwami.

Takie oświadczenie złożył sternik zagranicznej polityki austriackiej.

Prasa, która niewiele potrzebuje materiału dla ulepienia swych domysłów i przypuszczeń, obaw i nadziei, wydobyla i z tej mowy całe potoki wniosków „nowych.” Ale co w niej znajduje ogół, który sądzi rzecz z gruba i szuka odpowiedzi prostych, stanowczych? Nie, czego by już przedtem nie słyszał z ust Tiszy lub Salisburga. Może on więc sobie dalej pukać w palec lub klasnąć białą, jak czynił dotąd. Wiedza bowiem jego o jutrze nie wzbogaciła się najmniejszym promieniem. Jest to prawdziwa camera obscura — chociaż nie pierwsza i nie ostatnia.

## KAZANIE PO NIEWCZASIE.

O ile pożyteczną i szlachetną była surowa krytyka działań ludzi, stojących na

wydatnem stanowisku, o tyle niesmaczną i bezcelową, gdy obnoszą bezwzględności. W pierwszym razie dowodzi odważnie i istotnie dbałości o dobro ogólne, w drugim — łatwego bohaterstwa w deptaniu powalonych. Kraj, pismo polskie w Petersburgu, wychodzi od lat pięciu, przez tyle lat dr. Zybkiewicz był marszałkiem sejmiku galicyjskiego i ani razu nie zastąpił na nagane tego organu, choć — jak widać z rachunku sumienia winowajcy w nr. 45 — od początku i wiele grzeszył, a „człowiek przez wszystkie (i) obawy szanowany,” który mn. ten rachunek spisał i z Wiednia nadesłał, nie teraz chyba trzęsivo przejrzał. Długość dopiero po dymisji z urzędu ogłoszonego Zybkiewiczowi ów wyrok, odsądzający go od wszelkich zasług, nawet kancelaryjnych? Długość „ręka” tajemniczego i „przez wszystkie obawy szanowanego oświełka” nie ujęła dawniej za piór, za pośrednictwem *Kraju* nie pozwalał skądolwiek brutalnie przed trybunał opinii publicznej i tym sposobem nie zapobiegał jego ujemnej działalności oraz ślepej wierze ogółu w jego wielkość?

Bo czego ten niespokojny Marchot nie spartolił i na czem wyrósł.

Nominację na marszałka zawdzięczał umiętnemu przyjęciu monarchy w Krakowie i niedołęga ówczesnego namiestnika Galicji; syn mieszczanina wszędzie żywiołowi miejscowi okazał wielką nieprzychylność; był dziennikarstwem, wojował z zakładami lekczymi, okroił wydatki na biblioteki szkolne, przybyły naukowe i konferencye nauczycielskie, marnował pieniądze na wspaniałe budowle, przytłoczył swoje mieszkanie ozdobit *Unia* Matejki, przeszedł na sali sejmowej; rozwijał dziwaczny, a presterzający zapatrywał złątny program dźwignięcia sił produkcyjnych kraju; założył bank z niedostatecznym kapitałem, z kosztowną organizacją, lichym dyrektorem i ryzykownymi przedsięwzięciami; nie upróbził nawet biurokratycznej manipulacji wydula, nie usunął nadmiarów urzędników itd. itd.

W tem ośmarnem pamięć była jedna nie pozorno jaśniejsza. Rady szkolne od lat kilku prowadziły tak niedbale rachunki, że nie mogły usprawiedliwić wydatkowania sum pobranych od powiatów. Skutkiem tego niektóre powiaty odmówiły dopłat do podatków. Gdy sprawa stanęła przed sejmem, namiestnictwo zajęło się zbiciem rachunków, a czynność ta kosztowała je 6 do 7 tysięcy złr. rocznie.

Pan wrócił z zagranicy i zapragnął rozrywki...

Spodziewano się więc wielkiej oblawy z huczkami, czyli z naganą.

Nazajutrz miano zajęć zwierzca zdradziecko w kniei, a wieczorem dnia poprzedniego rozlegały się dawkami początkowo a sanek z gośmi, śpieszącymi na polowanie.

Wies Horoszków, owinięta płaszcem boru posępnego, najechał orszak myśliwski i zatrzymał się przed chatą Michała Zdora, stróża leśnego. Światło ledwie i brzaak obławiał brzegi nieba nad puszcza, zbiegała od sadzi. Przez jednoszybowo okienka niskich chatup było światło „luczników,” a po stołach kmieych rozlegały się odgłosy cepów. Młocno na doświuku przy blasku polajęcego smolaka. Z „osici” dymilo się i sanie, przygotowane do zwózki siana, zgryziały po wydeptanym, śliskim śniegu, targane niecierpliwie przez kono drażące od mrozu. Zjechała wielka ciżba myśliwych niższego gutunku: łowczych, oficyalistów folwarcznych i strzelców ochotników, z zaciąskami czynszowiczów. Psiarnia dworska i kuchnia zajęły całą chatupę Zdora, tak, iż daciog, wystraszona, pochowały się za piec, nie śmiejąc szeptu wydać.

Roział się po wszydzkie dzwonków zalany, zwiastując przybycie: dziesięcia z zo-

na, gości i zarządcy dóbr z nadleśniczym. Przejadali przez wieś, witani szczekaniem psów i przelotnymi wejrzaniami chłopek, ukazujących się w jednoszybowych okienkach — ze zmartwieniem na twarze lub z dziekiem u łona.

Ludzie nie chcieli roboty swąj rzucić i iść na naganę do lasu. Przedstawiano im korzysć oblawy, ale machali na to ręką wzgardliwie. Oo tam oblawia? Barcie i ule, powiągane na drzewa, chroniły „podkury” przed łakostwem niedźwiedzia. Zresztą od czegoż zasady noce i czaty w bezpiecznem miejscu? W końcu odpowiadali:

— Niedźwiedź aytą nam nie wymyśli, a skórę z głowy pewno zderze... Nie pójdziemy! Niech go tam kolki porwał.

Zastraszeni mniej hardo stawili się setnikom i dziesiętnikom. Powoli więc milki łoskot cepów po stołach i sanie, przesnaczone do zwózki siana, zapinały się „huczkami” i ruszały do kniei. Najwięcej chłopów zniwołilo do posłuszeństwa przemówienie nadleśniczego. Zagrzany obecnością chłobodawcy, zaczął je od „chamów,” a skończył pogróżką, że, gdy naganąć do ostępu nie pójdą, wzbrowni im pastwisk i opalu w lesie.

Więc z zajątą w sercu nienawiścią, a chytrnością w oczach i pokorą na twarzach, przedwiośnie zornych, zgro-

## POWIEŚĆ.

# OBŁAWA.

Obrazek polski.

W uroczysku „krasny roh” najczęściej lubili niedźwiedzie obierać sobie łowieliska zimowe. Były pierwszy śnieg spadł z nieba szarego, stróż leśni nie zapuszczali się bardzo w głąb, a obawy zbudzenia zwierzęcia z letargu i ściągnięcia na się niechęci dżdżadca. Każdy z nich powinien był tylko znać ostęp dobrze i wiedzieć, ilu tam niedźwiedzi spało.

W roku 188... śnieg upadł wczesniej i obficie, a w „krasnym rohu” legła samica z dwójkiem młodych. Michał Zdor ze swoimi towarzyszymi wycięgli się wzajemnie w donoszeniu wiedzy łowcom, a łowcy, rad ze spodziewanych względów — nadleśniczemu. Cała stróż leśna była niezwykła poruszona. Topiono kule, czyszczono strzelby, a psie, a psie, a psie podwajały poręce obroku dla egarów.



O zwrot tych kosztów rządowi upominało się ono u kraju, marszałek zaś oparł się temu, dowodząc, że potrzebę sprawdzenia rachunków wywołał niedórz starostów, przedstawicieli rządu. Spór ten trwał przez lat kilka, namiestnictwo przy poborze podatków straciło sobie sumy dla pokrycia swych pretensyj, aż wreszcie o podobu d-ra Zyblikiewicza wydział krajowy wniósł skargę do trybunału administracyjnego. Gdy zastępca marszałka postawił wniosek cofnięcia skargi i zyskał unaninie wydziału krajowego — dr Zyblikiewicz podał się do dymisji.

Ala pomijając niesłużność tego rozstrzeżenia, bo — według korespondenta *Kraju* — nienależało, doprowadzać sporu między władzą krajową i autonomiczną do najdrażliwszego wyrazu — owa pozornie jasna nie traciła swój blask i przez to, że ja marszałek szczerze przepieczęł do swojej próby o uwolnienie. „Najlepszym” powodem tego kroku była „porażka miłości własnej”, obrażenie chłodnym przyjęciem ze strony cesarza podczas jego pobytu na manewrach w Galicji i nieotrzymaniem tytułu takiego radcy.

Wyrazistosiom portretowi nie brak, chociaż zrobiony podług maski posmiertnej. Zyblikiewicz tedy był bezzamięlnym szalałwą politycznym, niemającym pojęcia o swoich obowiązkach i potrzebach kraju, niegodnym swego stanowiska a próżnym aż do dzieciństwa.

Musieliśmy zapisać duży tom, chcąc rozebrać i sprawdzić cały ten akt oskarżenia, w którym nie, literalnie nie dobrego nie przynają człowiekowi, przez lat tyle używającemu powagi i szacunku i niemal gwałtem zatrzymawanemu, gdy odejść postanowił. Zapytamy jedynie, co robił sejm, kiedy marszałek broił? Wieg na ten gro nie przedstawiciele narodu nie oiaży żadną odpowiedzialność za uchwały, tylko oiaży na jednym człowieku? Któs nienający stosunków, czytając korespondencję *Kraju*, nie domyślałby się, że w niej mowa o prezisie Izby, lecz co najmniej o wielkorządcy kraju, działającego z władzą bardzo mało ograniczoną. Na barki jednostki włócono tyle przewinzeń, że nie nie została ani dla posłów, ani dla władz autonomicznych i krajowych. Wszyscy zlewają się w białe tło dla oiażnej sylwetki.

Niestoty, takie świadectwo słabowe pissem zwykle ludziom wybitnym, uwolnionym od obowiązków publicznych. Dopóki dierzą władzę, milczymy o ich błędach.

dzili się przez chłupną leśnika. Stanieli, gwarzą i oczekają, gdaś iść o robic im rozkaz? Tymczasem, czyje osy ciakawe, mogły spoznać ich ubiory niewyrobny, prastary. Własnej roboty tkanina był od pigt do głowy odziani: siermięgi mieli na sobie a sukna „samodziół”, oszaki uohate przykrwały kudate osuprany, a nogi obute były w „lapię” lizane, przytworzone do stopy i tydki zamieniom lub „obora”. Jedni poopasywali swe siermięgi bure i koczuchy białe krajkami czerwonymi, inni zaś postroili się w szerokie „dziahy” czyli pasy skórzane, z kieszenia do hubki, kresziwa, lulki, noża i tym podobnych rzeczy podróżyowych.

Niektórym, jako strzelcom, rozdano broń, inni zaś, i tych było najwięcej, w lesie mieli znaleźć sobie oręż. Następnie wszystkim kazano iść do „kрасnego rohu”.

W tyle została wieś ze skrzypkami żórawiami i słupami sinego dymu, strzelającymi z kominów, opłatanymi rokitą lub korą brzoową. Myśliwi zaś do kniei dążyli. Droga, torowana saniami obłopów w czasie zwozki siana i drew, zapuszczała się cicho w głąb boru. A bór stał cały w siwiznie sadi i szmaru sletka. W minię, jak słonce wspaniało się wyżej na skiepienie nieba, na szczytach sosen topiała sads, spadając zdradziecko za kolnierzo

daeb, gdy ją wypuszczał z ręki — wynagradzamy sobie to milosenie z procentem. Jeżeli nie umarł — grób nas rozbiera! — odprawiamy każdego bez „Bog zapłać”.

Jeżeli — jak któs powiedział — „szydoroa bywa często prorokiem”, to korespondent *Kraju* wkrótce przekonał się, że tylko pierwsza połowa tego zdania się ozdobili. Przewiduje on wybor Adama Sapiehy, pseudo-demokraty, oraz porażkę stronnictwa stańczyków, z którymi ten „pan całą gębą” ma być „niczem niezwiązany.” Tymczasem zamianowano marszałkiem Jana Tarnowskiego, prawowitego stańczyka, bardzio wylegitymowanego ze swój krwi politycznej, nie Zyblikiewicza, którego korespondent, bez targu sprzedał partyi krakowskiej, zawożącnie skazanej już tylko na „nadskakiwanie młodem delegatowi rządowemu” — hr. Borkowskiemu. Wróżba przeto nie ułda się.

Nie ułda się, zdaniem naszym, cały obrachunek działalności Zyblikiewicza, namity, przesyłany i niczem niesdrażający oszowieka „szanowanego przez wszystkie oiazy.” Takie słowa rzucia się w kłótni, ale nie w spokojnym i sprawiedliwym sądzie. Jest to co najmniej kazanie po niewczasie, jeżeli nie wylew gniewu.

H. A.

## TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Ubiegłe dni przyniosły obfiteżniwo przesmożeń. Hr. Kalnoky, austriacki minister spraw zagranicznych, na obradach komisji delegacji w Budapeszcie, w mowie programowej, odrócił w zająciach bułgarskich interesy czysto-miejscowe od tych, które są związane z europejskimi a więc i austriackimi. Do rządu ostatnich salicył samodzielnosci Bułgarii, poręczoną traktatem berlińskim. Stosunki Austrii do innych państw charakteryzował — jako wyborno, dla Niemiec wprawdzie nie jest obowiązkowa obrona interesów specjalnie austriackich; zajmują się wszelakie Bułgaria o tyle, o ileżnią pokój na Wschodzie i w Europie się łączą. Z gabinetem rosyjskim nie ustają stosunki przyjaźne. Mówca wielkie pokłada saufanie w pokojowem nuposobieniu Najjaśniejszego Cesarza rosyjskiego. Zgodność zapatrywani i identycznosc interesów pozwalają mieć nadzieję, że An-

jadymy. Powietrze było chłodne i jedne, a z pod śniegu dobywała się słaba woda bułwicygiej szczatków roślinnych, bahun i oszów.

Pielkni byli —dziesięć ze swą żoną młodą. On miał na sobie modny strój myśliwski, on modne i bogate futerko, a siedzieli oboje w wygodnych i elegancyjnych saniech. Za nimi jechali goście. Gdy mijali naganiaczów, niosących na plecach dragi i koły zaostroszone, ci usuwali się im kornie z wąskiej drogi w bok, grzęzną w śniegu po pas.

Łecz otóż i „kрасny roh.”

W uroczysku tem las jest najgęstszy, prawie z samych sosen wyakopiennych złożony. Inne uroczyska topór wyrobńczy przersadził mocno, tylko to jedno ocalało. Posród tej gęstwy rozpostarło się z pół wólki polanki jałowej, zajętej w posiadanie ozarów, wrzósów, nieśmiertelników i porostów różnokształtnych i różnobarwnych, śnieganych o lecie pod grubą warstwą śniegu. Ohoć na niej młoda sosnina bujnie się puszcza, ale znać po śladach zgodności, że musiał ją któs uprawiać dawniej. Do polanki przytykała niewielka „biel,” czyli trzęsawisko, wyściolano młekiemi podnoskami mechów i zrzadka porośla sosnina karłowata, usychająca od spodnich gałęzi. Między tą bielą a polanką leża-

gliaznajdzie się po stronie Austrii na wypadek potrzeby utrzymania traktatu berlińskiego i prawnego stanu, któryż on wyniknął. Wszelkie też są powody przypuszczenia, że Włochy oduwają łęczność wielu swoich interesów z austriackimi. Nadto na zapytanie dra Falka odpowiedział, że Rosya nie zamierza ani dłuższej ani krótszej okupacji Bułgarii. Z rozpraw, które się nad ówmiadzeniami hr. Kalnokiego wywiazły, najwięcej obudziło sąjacia przemówienie hr. Andraszego. Twórca przymierza austro-niemieckiego sadi, że dzieło jego uciopino skutkiem zamiany związku podwójnego na potrójny, przez dopuszczenie Rosyi, gdyż Prusy znajdowały się w drażliwem położeniu, ilekroć było potrzeba rozstrzygnąć pomiędzy sprzeczniemi dążeniami dwóch państw pozostałych. Nadto zarzuca, że rząd austriacki nie określił wyraźnie, iż gotów jest bronić rozporządzeń traktatu berlińskiego, choćby miał się znaleźć bez sprzymierzeńców. Zdaniem Andraszego, połączenie dzisiejsze nie stałoby się tak drażliwem, gdyby zamiary rządu austriackiego w tym względzie jasno były okroslone. Hr. Kalnoky wprawdzie na razie odmówił szerszych wyjaśnień nad to, które dał poprzednio; wszelakie rozwój wypadków rykło przekonał, że austriackie ministerium spraw zagranicznych usilnie pracuje w duchu zasady: *si vis pacem, para bellum*. Nagła depesza zwołała hr. Kalnokiego do Wiednia. Jednodniowa nieobecność ministra spowodowała nawet zwłokę w pracach delegacyjnych. Po powrocie osnająmni na posiedzeniu połączonych delegacji: austriackiej i węgierskiej, że przymierze Austrii z Anglią jest już faktem spełnionym; że współdziałanie Niemiec także niebawem się uwydatni. Wiedeński *Tagblatt*, który sadi się być dobrze powiadomionym, objaśnia, że potrójne przymierze Niemiec, Austrii i Anglii przybrało już konkretną formę, że w akcie piśmiennym dokładnie wyliczone są lub wkrótce być mają ewentualności, mogące wkładać obowiązki wzajemne na strony kontraktujące.

Gdy wszyscy pokoju na dziś pragną, tedy należy spodziewać się, że nie będzie zakłócono i że owoc jeszcze nie dojrzał nalożony, aby epadł bez potęraścienia naszyt silnego. Przyjrzyjmy się, w jakim stanie on dziś się znajduje. Gen. Kaubars zapowiedział ministrowi bułgarskiemu Naczelnikowi, że za pierwszym gwałtem, rosyjskiemu poddanemu wyrządzonym, opuści

ła wywrócona olbrzymia sosna. Burza, szalająca tutaj przed kilku laty, oderwała ją od łoża ziemi, a ślady gwałtu została po sobie wlokła. Sosna, zagnięta za ozupryną zieloną, padając, zabrała z sobą wszystkie swe korzenie, przepłatała warstwami piasku szarego. Z tego powstał spory dół, nad którym wisiała pochylona wyrwa. Tam właśnie niedźwiedzie obrły sobie legowisko, tam to one miały całą zimę łapy ssac — wedle słów leśników.

W milczeniu strzelcy zajmowali wysnaczone sobie stanowiska. Naganiacze, uzbrojeni w dragami lub kolami znostrzonymi, roztawiono najbliżej łobla, od bieli, skądby łatwiej zwierza mogli strasyć. Pan dzielcie z orszakiem stanął na przemyklu, wiodącym w gęszoz boru, u pnia dęba, straszanego burzą. Tak mu porządził Michał Zdor, szawca i gospodarz kniei. Ujadął się długo z towarzyszem swym o rejdowatność w czasie łowów; wymownie powoływał się przed dziesięciem na swe zęby, zjedzone w myśliwstwie, że mu ten naroszenie pozwolił. Innych roztawiano wedle starszeństwa lub żywcizności dla nich, wymiarkowawszy dobrze, kiedy niedźwiedź zmykać będzie.

Obstapieno knięgo szerokim kołom i czekano, rykło li naganka się rozpoznie,

Bulgaryę wraz ze wszystkimi rosyjskimi konsułami. W d. 24 października (s. a.) kawas konsulat rosyjskiego został napa-  
dnięty na ulicy przez żołnierzy i ludzi z ki-  
kami i zbity do tego stopnia, że stracił  
przytomność. Dowiedziawszy się, że na-  
pad nastąpił z rozkazu miejscowej władzy  
wojskowej, zasiadał gen. Kaulbarsz do mi-  
nistra Nauczewicza usunąć dowódcę bry-  
gady miejscowej, tudzież komendanta mia-  
sta, przykładnego ukarania ludzi w napa-  
dzie uczestniczących, a w końcu uczczenia  
chorągwi rosyjskiej wojskowym wyzwo-  
żem. Uprowadził Nauczewicza, że w razie  
nieuczynienia wyżej wskazanego zadość-  
uczynienia przed wieczorem 17 b. m., opuści  
Bulgaryę. Ponieważ zaś w terminie roz-  
czemnym nie tylko zadośćuczynienie danom  
nie było, lecz żadnej zgody nie nadesła-  
no odpowiedzi, wyjechał więc gen. Kaulbarsz  
z Sofii d. 19 marca. Wszyscy konsułowie  
rosyjscy dostali także rozkaz wyjazdu.  
Opieką nad poddanyami rosyjskimi powie-  
rzoną została konsułowi francuskiemu, nie  
znając niemieckiemu.

Sprawy bułgarskie tak czy owak muszą  
być uporządkowane. Uporządkowanie to  
nie odbędzie się ani wbrew Rosji, ani z po-  
mieszczeniem jej zdania. Czy wybór padnie,  
jak przewidują niektórzy, na Nikołaja Da-  
widowicza Dadiana, medycyzozanego  
księcia Mingrelli, czy na innego kandydata  
Rosji, wpływ tego mocarstwa na sprawy  
bułgarskie będzie zapewniony. Zawsze  
czas był sprzymierzeńcem Rosji w polityce  
zagranicznej. Dział również nie znajduje  
się ona w potrzebie stawiania za wiele dla  
natychmiastowego rostrzygnięcia kwe-  
styi, gdy zwłoka może jej tylko przynieść  
korzyści.

Podniesienie się kursu rubla na giełdzie  
berlińskiej świadczy, że świat finansowy  
nie widzi w odwołaniu gen. Kaulbarsza za-  
porządki bliższej wojny.

W d. 25 b. m. otwarto parlament nie-  
miecki.

## STRONNICTWA GALICYJSKO-RUSKIE.

Lwów, 24 listopada 1886.

Prasa zagraniczna ruch ruski w Gali-  
cyi przedstawia jako coś jednolitego, tak  
co do związku inteligencji z ludem, jak  
też co do zgodnego działania jej na korzyść

ludu. Istotnie, sami galicyjscy rusini po-  
jmowali pracę swoją z tego stanowiska.  
Ucielił pośród inteligencji właśnie i wzna-  
jemne oskarżenia; głównym celem było  
dźwignięcie ludu pod względem moralnym  
i materialnym. W tym punkcie spotkali  
się ludzie nieraz wręcz przeciwnych prze-  
konań, a wynik wspólnej pracy okazał się  
względnie ogromny: w ciągu lat kilku po-  
stało w Galicyi i na Bukowinie przeszło  
600 ludowych czytelników i więcej niż drug-  
giego tyle kas pożyczkowych gminnych,  
szpihlerzów, chorów właścicielskich, gmin-  
nych sklepików chrześcijańskich. Dla do-  
starczenia ostatnim dobrego a stosunkowo  
taniego towaru, któryby wyparł po wsiach  
lichy a drogi żydakowi, założono przed  
paru laty „Narodną torbowię” — udziało-  
we towarzystwo kupieckie, które od razu  
dostało u nas niezwykłego powodzenia.

Pod bogim wpływem zgody wśród inteli-  
gencji zaczął się dźwignąć z upadku i upo-  
słódnienia ruski lud, gnać się do czytelników,  
które rozwijały się coraz lepiej.

Trwało to jednak nie długo. W osta-  
tnich czasach odnowiły się, niestety, dawne  
kłótnie pośród słoboczeń inteligencji ru-  
skiej. Okazało się, że zgoda zżyła była  
białymi niemi. Sama owa inteligencja, ze-  
spolona z czterech pierwiastków, kryła  
w swem łonie warunki swarów: jedna jej  
część wierzyła w tożsamość z narodowo-  
ścią wielkoruską, druga z maloruską, trze-  
cia, jakkolwiek już nieznaczną, upatry-  
wała swe zbawienie w pielegnowaniu ja-  
kiejs narodowości austriacko-ruskiej i au-  
striackim patriotyzmem, wszystkie trzy  
razem nado w klerikalizm, narazicie  
czwarta, najmłodsza, widziała to zbawie-  
nie w wszechmalorusyzmie, lecz o wy-  
bitym postępowym kierunku europejskim.

Ton wspomnianemu wyżej jednolitemu  
ruchowi nadawała właściwie ta część ostat-  
nia. Ona to, począwszy od połowy 7 dzie-  
siątk lat położyła główny nacisk na sprawy  
ludowe, przez co moralnie zmusiła  
dwie poprzednie ruskie partje do szukania  
ściślejszego związku z ludem i do zajęcia  
się jego losem. Lecz pod ciężarem przela-  
dowań nie mogła utrzymać się dłużej jaka  
grupa osobna i musiała wreszcie przyja-  
czyć się do narodowości, których sam bogi  
okoliczności wysunął był na plan pierw-  
szy. Podobnie uczynić musiało i stronnict-  
wo staroruskie, które wskutek ruchu po-  
stępowego straciło zupełnie miarę wśród ludu  
i młodzieży szkolnej, holdującej dotychczas

przeważnie kierunkowi etnograficznemu.  
W braku zasobu moralnych sił, a szcze-  
gólnie nowych zasad, posługiwano się żywo-  
łami radykalnościami. I rzeczywiście ca-  
łemu ruchowi, zarówno pośród inteligencji,  
jak i pośród ludu, przewodziły idee  
postępowe młodzieży z 7 dekadki lat  
obecnego wieku, ona też głównie dźwignęła  
na sobie ciężar pracy literackiej, i to z  
okoliczności przedwzrostkiem przypisać  
należy tak szybki postęp.

Pomyślał ten obieg wwrócił na siebie  
uwagę szlachty polskiej i rządu austriackiego,  
który wystraszony partje t. zw. metropolita-  
lnej, z ks. Sylwestrom Smbratowiczem i Peleszem na czele.

Wybitnie kierkalny kierunek, jaki  
obrały jej organa, *Mów i Rusi*, od razu na-  
ruszył harmonię pośród ruskiej inteli-  
gencji. Od tej chwili w narodowych budzi  
się zazdrość i chęć zostania stronnictwem  
rządowem. W tym celu wyłożą oni  
i pośród siebie nie tylko żywość radyka-  
lizacji, ale nawet wszystkie postępowe  
i wszechmaloruskie. Oną wprost sta-  
nąć pod sztandarem ks. metropolity, a gdy  
tenże ich odpycha, spieszą csem prędzej do  
biskupa Polosia i uznają go za swego prze-  
wodcę, wyrzekając się w ten sposób prze-  
wodnich zasad swego dotychczasowego  
przewodcy moralnego — Szezwocnika. Mi-  
mo to i rząd i wspomniany dośkojnik ko-  
ściółka uważają narodowości, jeżeli nie za  
niebistych, to przynajmniej za obojętnych  
religijnie, wskutek czego przyparło cofają  
się wstecz aż do najdalszych krainów.  
Z tego samego względu występują przeciw  
zwolennikom rosyjszczyzny, którzy ich  
nienawidzą.

Naturalnie, wszystko to jest bardzo na  
rękę rządowi, który, poparty w swych ro-  
kozyjnych dążnościach, wrócił się bardzo  
przeciw czytelnikom ruskim, nie pozwalając  
zakładać żadnych, rozwijając drugie  
i wydając proceśsy karne przewodnikom in-  
nych. Obecnie prześladowanie doszło do  
tego, że wszelka praca dla ludu uważana  
jest za zbrodnie. Niedawno np. zabronił  
namiestnik Zaleski założenia oświatli-  
wowej we wsi Żabie, jakoby z tego powo-  
du, że dojrzało tam wpływ socjalistów.  
Tymczasem gmina owa, niemająca nicogai-  
oświaty socjalizmem, buntuje się przeciw  
Zaleskiemu jedynie o to, że przez zwolenników ko-  
sowskiego starostwa i namiestnictwa zo-  
stała wyczuła niemal z gruntów i okra-  
dziona ze wszystkich pieniędzy w kasie.  
Ani jedna, ani druga partja dotychczas  
nie ogłosiła w całosci sprawy żabiowkiej,  
choć nie szczesliwi chłopcy z podziwioną  
godną cierpliwością ciągle udają się z pro-  
śbami do swych patryotów we Lwowie,  
szczeólnie do redakcyi *Dnia*. Dopiero znie-  
mawiony przez wszystkich polak Gnie-  
wosz odważył się wydać niedawno w tym  
względnie broszurę, w której z ust samego  
ludu bułgarskiego przedstawione są do nie-  
ba o pomstę wolające nadzycie. Natural-  
nie broszura ta została skonfiskowana.

Rozumie się, że to postępowani rusi-  
nów lwowskich fatalnie odbija się przede-  
wszystkim na czytelnikach ludowych. Po-  
wstaje ich coraz mniej, a i poprzednie za-  
łożone upadają jedna po drugiej. Brak im  
związku i pomiędzy sobą i z inteligencją,  
brak już duchowego pokarmu... Lud, który  
pierwotnie z takim zapalem skupiał się  
w tych ogniskach, mroźny obojętnością  
swej „inteligencji,” rozszerzowała się co-  
raz bardziej i bółem serca wraca do swych  
ciężkich chłapów, żeby tam zginać pod  
ciężarem wyzyskiwania wszelkiego rodza-  
ju i ogłupiania...

I gdyby przynajmniej, opuszczając lud  
własny dla „wysokiej polityki,” wspo-  
mniane stronnictwa wygrały owołwie  
w innym względzie! Gdyby przynajmniej  
nowi przyjaciele polityczni przedstawiali  
obecnie jakiegokolwiek moralną siłę! Bynaj-  
mniej! Mówi karmi się zapomną, nie posia-  
dając nawet 200 placących prenumerato-

a szewczaka ogary spudzi to smyczy. Młoda  
dzieńdzica, otulona futerkiem osobom,  
patrzala zdala w ostęp i była podniecona  
gotująca się obławą. Bór asumił powa-  
żnie milionem sosen wyniosłych. Kilka-  
dziesiąt serc kołatało tętnem przysposo-  
nom, kilkadziesiąt płuc głębiej oddychało  
na myśl zwierza straszego. U niejednego  
w piersi ożyły stare uczucie po proachach  
wzięte, gdy ci, jeszcze za łowieckiej służ-  
by, zdobywszy pod sklepieniem drzew ściegali.  
Niejednemu już zdążyły z niewyraźnej  
bojaźnią. Wszyscy byli wzruszeni za-  
równo.

Zdor znikł za łobem wśród buczków. Tam  
miał kierować naganką. Chłopi grzęzli  
w śniegu z drągami na plecach, gwarząc  
z cicha. Pod osenką stał wyrostek, sie-  
demnasto młode wiosen liczący. Miał on  
na sobie koszecek, przez siekalskiego kusnie-  
rza użyty i świeżo biały z sukna, w miej-  
scowym foluszu robionego. Jeszał po sie-  
no, a zawrócono go na obławę. Matka wdo-  
wa przewiesiła swemu jedynekowi na plec-  
cho „kajstę” zgrabną z półbocznem chle-  
ba razowego, trzema ogórkami kiszonymi  
i taranem „jółkim” cuchnącym gorzkiej,  
nieśli śledz. Więc tupotał nogami, grubo  
we dwie onuzce obtemni, gdyż w zalece  
szczyptał śnieg, przenikający łapę. Zapa-  
szczał chłopiec co chwila w biesiadą rękę  
zgrzanostwiałą od mrozu po strawę, brał

ją i gryzł żarłocznie. Naganiecznie, patrza-  
jąc na tę pracę jego szoszek, przekomarzali mu  
się:

— Jedz, jedz ale podwójnie do dobrze „ucz-  
kury” w „sukiennikach...”

— Czemu?

— Bo oberwać się.

— Od czego?

— Od strachu... Jak ci tam co przyby-  
dzie...

— Co ma przybyć? Nie boję się!

Włożył jednopaleznę rękawicę włóż-  
kową, ujął oburącz kół ostrokażosty i pogroził nim w stronę legowiska.

— Ej że, Joubiej, bacz no, by czasem  
krew zółta...

— Nie drwijcie, chłopczy! On zuch Brzo-  
Bożo, niezszeździła, na osenkę wlezie. Tam  
usiądzie na galezi — wstawił się któryś  
z poważniejszych „buczków”.

— Aha, usiądzie, nim go nie stręsie po-  
hanieć...

— Cicho, chłopcy! — upokajalik Zdor, zbli-  
żając się do nich. Nie rozmawiajcie, bo  
spłoszycie. Teraz zaczynajmy: Tiu ha!

Z. Petkiewicz (Komar).

(D. n.)



rów; *Ruś* popierana jest przez ultramontanów z k. Kalinką na czele. Na prowincyi oba pisma nie mają powodzenia nawet wśród inteligencji — ruskich księży.

Słowem, obecnie *Ruś* galicyjska przechodzi ciężkie przesilenie. Dzieje lat ostatnich w Galicji udowodniły dobitnie, że jej partya niezdolna są do przeprowadzenia ruchów.

Uznając ten fakt, młodsze pokolenie postanowiło zorganizować się odrębnie. Od nowego roku ma właśnie wychodzić pod redakcją p. Franka nowy organ p. t. *Postup*, który stać się stanowczo na gruncie świeckich, cywilizacyjnych spraw i w imię dalszej, wspólnej pracy nad podniesieniem ludu pragnie jednocześnie nakoła siebie jednostki szczerze i uosobie wszystkich odcienn.

Hucul.

## BADANIA NAUKOWE.

### NEO-HISTORYZM\*)

w ekonomii politycznej.

#### I.

Metodę historyczną w niesfalszowanej formie, jak pojęli ją twórcy „kierunku historycznego”, jak jej używali Hildebrand i Knies — można by z równą słusznością nazwać „metodą rozwoju”, czyli „postępu”.

Była to bowiem metoda doświadczalna „powiększona”, którą szkoła pożytywa Augusta Comte'a wprowadziła, kiedy znaki o życiu, czyli z biologii wyłączały grupę umiejętności, którą nazwała — co prawda nieco z barbarzyńska — „socyologia”.

Wówczas szkoła ta nie zdawała sobie sprawy z trudności, jakie nauka społeczna, badana właśnie na tej drodze, przedstawia z powodu mnożstwa powikłanych objawów.

Dla wielości przedmiotów i z powodu wielokrotności ich organów, jest to nauka „niezdająca się” „with which speculative inquiry has to deal”.

Pod wpływem nauk przyrodniczych i w skutek oddziaływania tego „historycznego kierunku” dokonał się przewrót w ekonomii politycznej. Istota każdej nowej epoki polega na tem, że do tego, co już istniało, przybywa pewien nowy moment. Moment ten staje się dla pewnego czasu punktem wyjścia.

Ostatecznym wynikiem tych wpływów była przemiana ekonomii politycznej, takiej, jak ją pojęła teorya angielska, oparta na wszechpotężnym egoizmie, a więc pryncypalnie na społeczną.

Punktem wyjścia przestała być „jednostka” i jej techniczna produkcja, a stało się „społeczeństwo” i sprawiedliwy podział dóbr ek. między jego części składowe. Inna rzecz, czy ta zmiana wypadnie na korzyść teoryi. Bo czy wychodzenie z najbardziej zwikłanego objawu, z wieloznacznego i nieuchwytnego pojęcia — une vaste synthése — „społeczeństwa” — zamiast prostej przesłanki o „egoizmie” ludzkiem korzystniejszym było dla teoryi ekonomii? o tem powątpiewać należy. Czy ci, którzy zalecają społeczne jej ujęcie na kredyt takich mistrzów filozofii, jak Herbert Spencer, Huxley i Bagehot, zdali sobie sprawę z trudności, które z przyjęciem „społeczeństwa” jako punktu wyjścia dla teoryi ekonomii politycznej się wytworzą?

„Uważać i badać tylko fakty, objawy konkretne” w ekonomii politycznej, głosi oni. Dobrze. Będzie to bez wątpienia prawdziwa „metoda doświadczalna” w rozumieniu nauk przyrodniczych.

„Społeczeństwo jest organizmem żyjącym, jest zbiorem sił i funkcji.” Być może.

„Człowiek jest tylko molekułą, komórką, która ma swoje przeznaczenie i która się zmienia bez ludzkiego współdziałania mniej więcej tak, jak ciało pierwszozaka lub ława koralewa.” Istotnie, między życiem fizjologicznym, a społecznym istnieje analogia zrazu narzucająca się sama z siebie. Społeczeństwa „rodzą się, wzrastają, upadają i giną” podlegają prawom „naturalnego następstwa,” tak jak twory żyjące. Bez wątpienia „rozwoj pierwszozcy, komórki, elementów anatomicznych i histologicznych oraz rozwój ludzkości” czy społeczeństwa jest bardzo podobnym — na pierwszy rzut oka — identycznym.

Zapewne jest coś głębokiego w tem uważaniu jednorodności objawów, w tem przeprowadzaniu aż do ostatecznych wniosków Darwinistycznej tezy *powiększonego rozwoju*. W istocie, niczem nie można tak dokładnie uprzytomnić jednej z najpiekniejszych zdobyczy ducha ludzkiego, jak wskazaniem na tę piękną ideę powszechnego rozwoju, z której wyłoniły się „biologiczne abstrakcje” w nauce społecznej.

Błądziły jednak, gdy w tych „biologicznych abstrakcjach” dopatrywał znaku do rozwiązania społecznych zagadnień. Na jedną bardzo wybitną różnicę, zrywającą tę powszechną analogię, zwrócił uwagę prof. paryski p. Carrau, wykazując, że komórki w pierwszocy są równorodne (*homogene*), podczas gdy jednostki w społeczeństwie są różnorodne (*heterogene*) fizycznie, moralnie i umysłowo, co więcej, że nie tylko w społeczeństwach rozwiniętych, lecz owszem nawet w społeczeństwach pierwotnem, gdzie różnica bohatera od innych, jest jeszcze bardziej bijącą w oczy\*\*).

Szkółta t. z. ewolucjonistów chciała z ekonomii politycznej zrobić naukę przyrodniczą w tem znaczeniu, jak nią jest biologia, i wywołała cały szereg nęślawców „ciągnących jak ómy za światłem”, a „biologicznymi abstrakcjami.” Dla nich „społeczeństwo, równie jak jednostka, są wyjęte z pod wpływu wolnego sądu — soustraies de la libre arbitra.” Są to po prostu „organizmy”, których rozwój podlega pewnym i niewzruszonym prawom. Postęp jest tam równie nieunikniony, jak upadek, jak śmierć, która musi usunąć organizmy zużyte.

Twórcy teoryi „socyologicznej” i spadkobiercy idei Augusta Comte'a, Herbert Spencer pożytuje za zadanie i „najwziobszą ułokonalenie socyologii, jeżeli ona się uda ująć ód niezmierny i wielozakłatny agregat tak, że widocznie, jak się kształtuje każda poszczególna grupa na każdym z osobna stopniu rozwoju, w skutek własnych poprzedzeń lub też w skutek przeszłego i teraźniejszego działania na nią wszystkich innych wpływów zewnętrznych. Zanim jednak będzie można przystąpić do urezeczywistnienia zamiaru, mającego na celu wyjaśnienie tych wszystkich, tylekroć powikłanych objawów, należy wpród poznać ich istotne stosunki społeczeństwu i następstwa, w jakich owe objawy nawzajem względem siebie pozostają. Za pomocą porównań społeczeństw różnorodnych i na odmiennych stopniach rozwoju się znajdujących należałoby pierwej wykazać właściwości ich układu i funkcji, tudzież wzajemne ich względem siebie wymiary. Czyż, innymi słowy: zanim przystąpimy do dedukcyjnego wyjaśnienia ogólnych objawów, należy poprzednio

je ustalić za pomocą metody indukcyjnej\*).

Było to dawną uznaną prawdą w naukach przyrodniczych, że twory naturalne przedstawiały ciągi i nieprzerwany pęset. Rozwoj, jednostkowy w przyrodzie można było, nie bez odległej analogii, przyrównać do rozwoju szczegółowych objawów ekonomicznych.

Leżąc jest to zdobyczą najnowszych poszukiwań na polu przyrodniczości, że obok rozwoju jednostkowego przybyły nowe postrzeżenia nad zmiennością *form objawów* czyli *typów*, których najudatniej wyraża stanowi zasada o powstawaniu gatunków.

Była to zdobycz nie tylko umiejętności przyrodniczych. Zasada powszechnego rozwoju opowiadała wszystkie nauki. Ta sama teorya, która służyła Darwinowi do postawienia tezy o pochodzeniu gatunków, przeniesiona na inne pola badania wyraża wpływ niezmierny. Zasada „ciągłego rozwoju” uczyniła na innych umiejętnościach wyisłak swoje znamię. Niebawem wszystkie one zostają pod przewagą nauk przyrodniczych i ich metody.

Jeszcze przed stu laty dowodził w Akademii berlińskiej radca konsysteryalny Süssmilch ku powszechnemu zbudowaniu, że *mowa* jest darem gotowym, danym człowiekowi. Dziś mamy prawo przyjąć za pewne, że początek języków pochodzi od surowych, artykułowanych dźwięków i nawoływani, które na podstawie stałych prawideł coraz bardziej się różniczkowały co do znaczenia, a za pomocą rozmaitego rodzaju przemian stawały się coraz sposobniejszemi do łączenia pojęć i wyrażań myśli. Dziś wykazuje językoznawstwo wspólny początek najniepodobniejszych na pozór języków, a obok Darwinowskiego drzewa rodowego gatunków można by postawić rodowe drzewo języków\*\*\*).

Tak samo wyrobiło się prawoznaństwo, co wykazał Savigny w Niemczech, a Henry Maine w Anglii. Było to tedy rzeczą prostego porównania doszukać się tej samej zasady powszechnego rozwoju w całym szeregu. *Państwo i społeczeństwo* zaczęły się również wydawać nie tylko co do samego pochodzenia, lecz i pod względem swych funkcji tworami na podobieństwo organizmów żyjących ukształtowany.

Stąd poszedł pobór uawania zjawisk społecznych, a później ściśle ekonomicznych za pokrewne zjawiskami świata przyrodzonego, organicznego. Nie można nie przyznać, że liczne objawy ekonomiczne podlegają rozwojowi. Każda forma, czy to system kredytowy, czy własność, czy przedsiębiorstwa — społeczeństwo nieraz zrobione — przedstawiają pewien rozwój postaci, w której się objawiają. Jest to tak nazwany przez Mengera rozwój typowy. Znowu jeden dowód więcej, że ekonomia polityczna nie jest tak wykonaną i zamkniętą aż do „some unsettled questions” nauką, jak sądził J. H. Mill; jeden dowód więcej, że różnica i istoty objawów ekonomicznych nie należy umiować w pewną stałą formę danej chwili i danego czasu, lecz że przedstawiać je należy w całości ich jednostkowego i typowego rozwoju.

O ile zaś stać się to może tylko za pośrednictwem badania historycznego, o tyle metoda historyczna w teoretycznych nawet badaniach ekonomii jest uprawnioną.

Nie co innego wyrażał prawdziwy pierwotny kierunek historyczny.

(D. c. n.).

Dr W. Lewicki.

\*) Jest to częśb obserwowanej pracy rękopiśmiennej — jak czytelnicy łatwo dostrzegą — bardzo poważnego autora p. t. „Rozwoj metody w ekonomii politycznej.” *Rel.*

\*\*) *Revue des deux Mondes*, rok 1880, zeszyt z kwietnia.

\*) Spencer Herbert, *Die Prinzipien der Sozialpolitik*. Przekł. niem. tom I, 1877, str. 527 i 528.

\*\*) *Darwin* i *istoty społeczne*. Odczyt G. v. Kaappa, dnia 11 stycznia 1872 r. w Szwajcarskim uniwersytecie w Lipsku. *Ekonomista*, rok IX, 1874, Zeszyt III, str. 207.

## HOMO SAPIENS FERUS.

W pomroce wieków zaginęły pierwsze okresy rozwoju ludzkości i tylko ze słabych śladów, jakie po sobie zostawił człowiek prehistoryczny, możemy sobie ułożyć niedokładne zarysy jego życia. Z resztek narzędzi i broni, ze szczątków budowli uchwycione szczegółowo śliskamy w jedną całość i jak obraz mozaikowy z drobnych kamyczków powstaje w umyśle naszym z tych ulotnych wskazówek pojęcie o życiu praojców. Na słabych jest ono zbudowane podstawach i wiele jeszcze pozostawia pola fantazji. Lecz i takiego punktu oparcia dla naszych badań nie mamy w chwili, gdy zwracamy się do najwcześniejszej młodości rodzaju ludzkiego i poznajemy pierwotnego człowieka, jego sposób życia i jej. Ściślejsze naukowych danych dostarczyć nam wtedy mogą jedynie studia nad życiem ludów, dzisiaj jeszcze na najniższym stopniu cywilizacji stojących i obserwowanie gromad dziczy, czy, takich, które wskutek jakichkolwiek przyczyn odrwane zostały od swego społeczeństwa i w osamotnieniu utrącały wszelkie cechy cywilizacyjnego człowieka. O pierwszych istnieje już dość obszerna literatura, drugimi zajmowano się mniej.

W ostatnich czasach zestawieniem występkowego, o ludzkości dziczyliśmy wiemy i ocenieniem znaczenia ich dla rozmaitych gałęzi wiedzy zajął się profesor uniwersytetu dorpackiego, znany antropolog i embriolog August Reuber. W dziele p. t.: *Homo sapiens ferox*\*) zebrał on wiadomości o 16 osobnikach dziczy, które w ciągu ostatnich 6 stuleci różnymi czasami zaobserwowano i wnieśli ich o ich znaczeniu naukowemu, politycznemu (?) i pedagogicznemu oparł na tym materiale. Rzecz prosta, że z tych przytoczonych 16 sprawozdań nie wszystkie posiadają stopień jednakowej wiarygodności: niektóre, zwłaszcza są najdawniejsze, zostały silnie przez fantazję podających je zabarwione. Tak np. kronikarz heski Wilhelm Dilich twierdzi, że w r. 1341 między wilkami znaleziono dziecko około lat 7 i do landgrafa odesłano; podczas pobytu między wilkami oddawały mu one najlepszą część pożywienia, a na zimę przygotowywały schronienie w jamach, usłanych zwierzętami łisi. (Chociaż szczegół ten jest widocznie zmyślony, nie przeszkodziło to jednakoż J.J. Rousseau uwierzyć w ten zupełności). Późniejsze wiadomości noszą już mniej mitologiczny charakter. Bardziej np. dokładną i wiarygodną podaje już dr. Mikołaj Tulp, kurator gimnazjum i bormistrz w Amsterdamie o t. z. młodzieńcu irlandzkim. Piasek po roku 1672, że przywieziono z Irlandii do Amsterdamu 12-letniego chłopca, który od najmłodszej młodości przebywał między dzikimi owcami i zwyciężał ich w zupełności przejął. Czoło miał zapadłe, skórę suchą, spaloną, gardło szerokie, język jakby zrośnięty z podniebieniem. Głosu nie wydawał ludzkiego, lecz bek barani. Dawno mu pożywienie badawcze obwąchiwał. Potraw zwykłych unikał, jadł zaś ochotnie trawę i siano. Po długim bardzo czasie odwyki dopiero od życia pod gołym niebem i włości pod lasach i pastwiskach.

Litwa także dostarczyła dosyć znacznego zastępu dziczy. Około r. 1657, podług wiadomości podanych przez naczelnego świadka Tytkowskiego i wzmiankę, jakie znajdujemy u Chwałkowskiego, Redwitz i innych, w lasach litewskich około Grodna, myśliwym udało się schwy-

tać między niedźwiedziami 12-letniego chłopca, który przyzwyczajeni i sposobem życia nie różnił się wcale od swoich czworonożnych towarzyszy. Był on silnie rozwinięty fizycznie; skórę miał bardzo białą i włosy takiego samego koloru. Głosu ludzkiego nie posiadał, lecz mruczał jak niedźwiedź. Przywieziony do Warszawy na dwór Jana Kazimierza, został przez biskupa poznańskiego ochrzczonym. Później oddano go jednemu z dworzan królewskich na wychowanie. Po pewnym czasie nauczono go chodzić na dwu nogach, nigdy jednak nie zdołano skłonić do noszenia ubrania i przykrywania głowy. Niejednokrotnie niekiedy do lasu, gdzie pазножили się korę zderzać z drzew i soki ich chwycić pić. Zwołany sędzi w tę stronę, z której głos pochodził. Pojęć religijnych wpojono w niego zaledwie tyle, że gdy powtarzano słowo „Bóg“ wznosił oczy i ręce ku niebu.

W roku 1669, a następnie i w 1694 w lasach litewskich ujęto również dwu dzikich chłopców. O pierwszych wiemy z listów van den Branda do Kleverskerk, później znowo ambasadora holenderskiego w Londynie, drugiego zaś widać u Connor, lekarz nadworny Jana Sobieskiego i pisał o nim w swojej *History of Poland*.

„Homo ferox“, opisany przez Branda, liczył około lat 12, gdy został pojmany. Umieszczono go w klasztorze pod Warszawą. Brande pisze, że gdy zbliżył się do niego, dwu żółtych, znajdując widocznie upodobanie w jego ubraniu, brał w ręce i obwąchiwał srobrze bliższymi guzikami. Nagle odskożył, wydając dźwięki do mruku niedźwiedzia podobne i przystulił się w kacie parkanu. Gdy mu rzucano kawał chleba, obwąchał go starannie i z żarliwością spożył. W podobny sposób zachowywał się chłopak widziany przez Connor. Nauczono go trzymać się w pozycji stojącej — pisał lekarz Jana III — sposobem używanym przy tresowaniu psów: wyprostowano go i opierano o ścianę, zmuszając stać tak przez dłuższy czas.

Dużo wzwą w swoim czasie zrobił jeden dziczy, znany pod imieniem Piotra Hanowerskiego. 27 czerwca 1724 r. podczas snobosku w okolicy miasta Hamela, obywatel tegoż miasta Meyer, spotkał w polu młną, czarną, nagą istotę, która z wielu względów zdradzała swoje ludzkie pochodzenie. Był to chłopak mniej więcej lat 12, który na pytania Meyera zupełnie nie odpowiadał, lecz rzucał się na ziemię, całował ją, a następnie ręce swoje. Za pomocą kilku guzików zawiął go Meyer do miasta. Tu rozciągnięto nad nim dołki i starano się włożyć go w ramki cywilizacji. Lecz młody Piotr (tak został on nazwany przez chłopców ulicznych w Hamelu), żywo oponował przeciw tym zamachom na swoją wolność i przyzwyczajenia. Gdy go zamykano w pokój, wybił szybę i wylamywał okienkie kilkakrotnie; gdy go zmuszono do włożenia odzieży, dał ją przy każdej sposobności. Nadzorca dla utrzymania go w spokoju używał białej, później Piotr już na sam widok tegoż przyrządu pokorniał i uspokajał się. Czasami jednak przymus tak go rozdrażniał, że w gniewie gryzł się sam w ręce. Przy pomocy zamianowanego już środka nauczono go jadać nie trawę i surowe warzywa, do których czuł szczególne upodobanie, lecz chleb i potrawy gotowane. Wrok i słuch miał Piotr nadzwyczaj rozwinięty. Muzykę bardzo lubił i gdy mu grano, zaczął tańczyć. Mowy nie posiadał i daleko nigdy nie nabył. Daleko później w Anglii nauczył się parę słów niemieckiego, jako to: „Peter“, „Ki scho“ i „Ki ca“ — co miało znaczyć „King George“ i „Queen Karolina“.

Okolniczości złożyły się tak, że Piotr Hanowerski miał niezwykle rozgłos, nie tylko w Anglii, ale i w Europie. Pojawienie się jego przypadło w czasie, kiedy

z wielkiem ożywieniem prowadzono spór o tak zwane pojęcia wrodzone. Wielką wagę tej sprawie wywoływała silna rozdrążnienie ze strony obu walczących obozów i zastraszła polemikę w najwyższym stopniu. Dłatego szeroka ciekawość obudziła osoba Piotra Hanowerskiego. W zbadaniu jego umysłowego stanu spodziewano się znaleźć rozstrzygnięcie spornej kwestii. W lutym 1726 r. na rozkaz króla Jerzego I, Piotr oddawiony został do Hanoworu, a następnie odesłano go do Anglii, jako prezent dla ówczesnej księżnej Walii, Karoliny, kobiety znanej w swoim czasie z wysokiego wykształcenia. Ta ze swojej strony oddała go dr. Arbuthnot, przyjacielowi Pope'a i Swifta dla zbadania jego „pojęć wrodzonych.“ Arbuthnot atoli po bardzo krótkim czasie zdecydował, że antropologia i psychologia niewiele zyskują z tych obserwacji. Piotr oddany został pod opiekę jednego z dzierżawców królewskich. Umarł w r. 1735, mając lat 73.

Przykład szybkiego nabywa cech cywilizacji ze strony człowieka dzikiego przedstawia dzieje człowieka z Songi, przez biografię swoich zwłok panna Lo Blanc zwaną. W sierpniu 1731 r. do wsi Songi (w okolicach Chalons w Szampanii) pod naciskiem pragnienia zaszła dziewczyna lat 9 cni, która nosiła na sobie wyraźne ślady długiej tułaczki po lasach. Bosa, odziana tylko w strzępki jakiejś skóry, z grubym kijem w ręku, krocząc ona szła przez wieś.

Gdy ktoś z mieszkańców poszedł na nią psa, *Puella Campanica*, jak ją nazwał Linneusz, zaczęła nań odważnie i gdy się zbliżył, uderzyła go tak silnie, iż pies zabity padł na miejscu. Ucieczona swym zwycięstwem, rzuciła się na okilkroć z oznakami radości na ciało zwierzęcia. Nie mogąc się dostać do żadnej siedziby ludzkiej, wdrapała się na drzewo i tam zaczęła. Później została przez kobietę jakąś do wsi wabiącą. Rozciągnięto nad nią staranną opiekę i oddano na zamek w Songi. W kuchni tego zamku spostrzegła ona kilka sztuk psów, przyrządzonych przez kucharza. Rzuciła się natychmiast na nie i w stanie surowym zaczęła je pożerać. Skłonność do spożywania surowego mięsa, liści, trawy itp. była u niej tak silna, że jeszcze w dwa lata potem, niekiedy pewnego razu z zamku Songi i przepłynąwszy sąsiedni staw, Lo Blanc wylądowała na małej wyspce i wzięła się do jądania biał. Odzwyczajanie jej od dawniejszego sposobu życia szkodliwie odbiło się na jej zdrowiu. Z jednej choroby wpadła w drugą. Rysem dobrej charakterystyką ówczesnego pojęcia jest to, że opiekunowie Lo Blanc, dla usunięcia dzikich skłonności, kazali jej raz po raz krew pioszczać. Wskutek tego nieszcześliwego pomysłu zdrowie jej bardziej jeszcze podkopane zostało.

Zręcznością Lo Blanc budziła podziw wszystkich. Z największą łatwością wdrapywała się ona na drzewa i trzymając się gałęzi, z jednego przesakiwała na drugie. Po dachach chodziła jak po równym ziemi. Taki sposób życia wywarł pewien wpływ na rozwój i ukształtowanie się jej ciała. Tak np. wielki palec u rąk miała bardzo silnie rozwinięty; spowodowało to zostało przez częste włożenie na drzewa.

Mowy Lo Blanc początkowo nie posiadała; w chwili niebezpieczeństwa wydawała dziwne, przerażające krzyki. W niedługim atoli czasie, oddana na wychowanie do klasztoru w Chalons, nauczyła się języka francuskiego. Uzyskała wtedy dopiero sposob porozumiewania się z nią i dokładnego zbadania jej stanu umysłowego. Dowiedzano się jednak od niej niewiele. Pamięć nie sięgała ona daleko w przeszłość. Nie przypomniała sobie ani ojca, ani matki, ani miejscowości, z której przychodziła, pamiętała zaś tylko, że kiedyś dwa razy przeprowadziła się przez morze

\*) „Ueber die Zustände der verwilderten und ihre Bedeutung für Wissenschaft, Politik und Schule. Lipsk, 1886.“



## I.

i że następnie często wdrapywała się na drzewa i urządziła polowanie na zwierzę. Ostatnim wybitniejszym wypadkiem ze swojego życia poprzedniego, który zachowała w pamięci, była utarczka z równieśniczką o wianek różany, znaleziony na brzegu rzeki. Uderzyła ona wtedy swoją rywalke kijem i raniła ją w głowę. Gdy ta atoli krwawić się zalała i krzycząc zaczęła, Le Blanc zatamowała jej upływ krwi za pomocą skórki żaby i owiązała ranę kaskiem kory drzewnej. Po tem właśnie zajściu poszła do Songi, zwyciężona zaś, która we wszystkim do niej podobna była, wróciła do lasu. Podług własnych słów Le Blanc rozmyślał i zastanawiał się zaczęła dopiero po odebraniu pewnego wykształcenia; poprzednio zaś znała tylko pocucie swoich potrzeb i chęć zaspokojenia ich.

W końcu zeszłego stulecia Viray obserwował 12-letniego chłopca, zdzieciałego, z okolic miasta St. Sermin. Ten również żywił się wyłącznie kartofkami, orzechami i kaszankami w stanie surowym. Po pewnym dopiero czasie przystępował się do chleba i mięsa gotowanego, ale bez soli. Wogóle potraw okrzynnych i solonych nie znosił. Mowy nie posiadał, wydawał dźwięki niertykalowane, zwłaszcza gdy był rozdrażniony. Słuch i powonienie miał nadzwyczaj czułe. Widok lasu wzbudzał w nim uczucie radości i tęsknoty zarazem. Ogień sprawiał mu przyjemność; grzał się przy nim nawet wtedy, gdy było zupełnie ciopło. Gdy chciał jeść lub spać, a stawiano mu ku temu przeszkody, dawał oznaki gniewu i niecierpliwości. Krzyczał wtedy, tupiał nogami, gryzał i draapał. Osoby, które mu jeść dawały, rozróżniał łatwo; nie okazywał jednak względem nich żadnych oznak wdzięczności. Wogóle śladów w współżyciu nigdy w nim nie zauważono.

Opórów wymienionych znajdujemy jeszcze w dziele Raubera zyciorys: chłopca bamberskiego, Juna z Liège (Johannes Leodicensis Boerherti), dzikiego z Kronstadu, chłopców paryjskich i kilku innych zdziwiałych osobników, o których mniej lub więcej dokładnie wiadomości nas doszły.

Opierając się na tym materyały faktycznym, określa Rauber znanie ludzi zdziwiałych dla rozmaitych gałęzi wiedzy.

Antropologia ma w zdziwiałym obraz człowieka prehistorycznego. Obraz ten jednak jest pod pewnym względem niedokładny. Osobnik zdziwiał, tracąc cechy cywilizacji, zachowuje jednak dosyć wielką skłonność i zdolność do rozwoju. Zdolność ta jest owocem życia cywilizacyjnego jego przodków; unosi on ją ze sobą, jak nieodłączne dziedzictwo na swoje życie samotne. W tym punkcie zdziwiał różni się od człowieka pierwotnego. Pamiętając o tem, że mamy tu do czynienia nie z identycznością, tylko z podobieństwem, antropologia może jednak odnieść wiele korzyści z obserwacji ludzi zdziwiałych i wiele światła rzucić na życie najodleglejszych pokoleń.

Filozofia z tych obserwacji wyprowadzić może wnioski, potwierdzające na innej drodze zdobytą już zasadę, że mowa i rozum nie są darem niebios, nie są dowodem szczególnej łaski bożej, lecz dorobkiem w ciągu tysięcy lat powoli przez ludzkość zdobywanym. Człowiek izolowany, odłączony od społeczeństwa, nie tylko że sam sobie mowy nie stwarza, lecz nawet gdy to towarzysza ludzkiego wraca, z trudnością jej się uczy. Osobnik posiada tylko zdolności, po wyższych zwierzętach w znacznym stopniu już oddzielone do utworzenia w sprzyjających warunkach mowy. To, co nazywamy rozumem ludzkim, również nie jest cechą przystającą człowiekowi; jest także zdobyczą ca-

łych tysięcy lat. Trzeba bardzo długich okresów czasu, trzeba wstąpienia człowieka w stan życia społecznego i ugrupowania się w państwo, by mowa i rozum istniejące w istocie ludzkiej tylko, jako uzdolnienie, rozwinęły się i wykształdziły. To, czego człowiek żaden sam jeden stworzyć nie może, powstaje i zjawia się samo w chwili, gdy łączy się on z innymi.

Słaba, ledwie widzialna iekierka łączy się w niewielkie płomyk, a duża ilość takich płomyczek daje ognisko, które oświeca i grzeje całą ludzkość. Przez wprowadzenie pojęcia długich okresów czasu i zasady rozwoju, powstanie mowy i rozumu u ludzi staje się zupełnie jasnym. Trzeba jeszcze to uwzględnić, że rozum i mowa w rozwoju swoim okazują sobie nawzajem dużą pomoc. „Mowa, gdy raz powstała — powiada Wundt — jest nietykalny już bezpośrednim wytworem samowidz, lecz zarazem najważniejszym narzędziem myślenia.“ Lecz aby uzdolnienie do utworzenia mowy i wykształcenie rozumu rozwinęło się, musi człowiek nieodzwrotnie wstąpić w studium życia towarzyskiego, życia w społeczeństwie i państwie. Na tym punkcie studia biologiczne dają silne oparcie idei państwa. Wykazują one, że państwo jest podwalnią cywilizacji, a zadaniem jego przeprowadzenie człowieka ze stanu dzikiego na wyższy stopień rozwoju.

*Homo ferus* ma swoje znaczenie i dla pedagogów. Racjonalne wychowanie dziecka powinno być odbiciem rozwoju ludzkiego, a kształcenie pojedynczego człowieka powinno iść temi drogami, jakimi szedł zbiorowy umysł ludzki. Zwrócenie uwagi na te zasady wprowadziłoby rozmaite zmiany do zwykłych klas urzędnych szkolnych. Ze względu np. na to, że piśmno jest jednym z późniejszych stosunków nabytków ludzkości, w szkołach elementarnych oddobyć by należało naukę pisaną na pewien czas, a więcej czoły dzieł robot ręcznych, zajęć z zakresu rzemiosł.

Zyczeniem, aby wykształcenie przyrodnicze poprzedzało prawne i aby wogóle starano się więcej tłumaczyć wszystkie kwestye z punktu przodowności, kończy Rauber swoją pracę.

W badaniach jego znaleźliśmy potwierdzenie prawd, do których nowożytna nauka na innej drodze już doszła. Bądania te do reszty szedreć tylko mogą romantyczną osłonę, w którą zwykle ubierano człowieka pierwotnego. Zamiast arkadyjskich pastery, zamiast sielankowych osobników w człowieku prehistorycznym widzimy istotę, niewiele różniącą się od jego pobratymców, wyższych zwierząt kregowych. Powinowactwo to z każdym krokiem nauki naprzód zyskuje wiekie potwierdzenia. Nieprzynawanie się do niego dziś byłoby już postępkiem równie niegodnym, jak wyrażanie się ojas w siemiędmie przez wyrażenie syna. Zresztą przewidywanie o tem powinowactwie nie zawiera w sobie nic przygnębiającego. Kto przetrząsnął myśl o ciągłym postępie i przekonan, że to, co dziś jest naszym względem przeszłości, stanowi tylko jeden z pierwszych szczebli na drabinie cywilizacji dla przyszłości. Z takiego punktu widzenia niskie pochodzenie rodu ludzkiego nie przynosi mu wcale ujm, a zadaniem człowieka staje się ciągła praca na korzyść rozwoju. „En avant“ napoleoński granadyrów musi być hasłem ludzkości.

Mieczysław Kaufman.

Niedalekim jest czas, kiedy ludzkość jak w prawo żelazne uwierzy, iż zgon wielkich ludzi jest dopiero jutrzejszy ich ślawy. Poeci, którzy czują w łonie swem iskry geniuszu i tem samem buntują się przeciw idealom, wśród których wzrosli, powinni być konieczność do najrychlejszego zrozumienia i nią się oswiadczyć: współczesność nie odda biłgów ich za życia laurami, chyba, że... żyć będą tak długo jak Goethe lub Wiktor Hugo, zdolają burzę namietności uspokoić, wypiekać wszystko, co ich natchnięcia pierś podnosi. Imi zaś, których potęga ogień wewnętrzny, zanim dojdą do pełnego rozkwitu sił swych, nie wczesniej jak na łonie śmierci słyszą piorawy oklaski tłumniejszy.

Do tych ostatnich należy Heino. Choć przetrzął pół wieku, jednak na długo przed zejściem do grobu z mumą się rozstał i tylko od czasu do czasu zamieniał z nią tęskne spojrzenia. Ow płonem duszy strawił go na zgłiszczą i zrobił chłodzącą ruiną, wybuchającą nios wulkanizację i szybkie gasnącą. Ale więcej zamarowało go borykanie się z panującymi pojęciami, z gwałtownymi reakcjami, z okrutnymi wyrokami sądu niemieckiego, z nieprzebraną czeredą wrogów osobistych i politycznych. To więc, co było z Byronem, Wordsworthem, Shelleyem, Lensuom, Bögrem, Krasinkim — powtarza się z Heinem; dzisiaj zaczynać oczyszczać dzieje tego zlanego olbrzyma z popiołów oszaleństwa i złej woli. W ciągu dwóch zlat wydano już dwa- no kilkakrotnie jego pamiętniki (Edward Engel); Weil ogłosił ciekawą wspomnienie; tak samo Henryk Julia; Karpelos napisał zyciorys w szerszym zakresie itd. A teraz oto, w lat trzydziści od ostatniego tebnienia poety, w chwili, kiedy prawo drukowania jego utworów przechodzi na własność ogółu, ukazują się only szeregi publikacji i studyów, rozpowszechniających nasół znajomości jego dzieł i życia.

Bierzemy do ręki wydanie najświetniejsze, opatrzone firmą literacką, która dobrze o nim nieupiera, a mianowicie zasłuconem imieniem Gustawa Karpelosa. Symptomem ten dla nas z wielu względów piasz, odznaczający się szerokim, humanitarnym na świat poglądem, krytyk łączącym w sobie szerzą wiedzę z lokością formy, zbagacił swoją odjęcie cennymi przypisami i objaśnieniami, a co ważniejsze, ze skromnością godną podziwu, powierzył wstęp biograficzny pióru, które uważa widocznie za odpowiadające trudnemu zadaniu, pomimo iż sam do lepszych znawców Heinego należy. Otóż ten wstęp właśnie, nieprzekraczający sześćdziesięciu stronnie dużej ósemki, wprawdzie zapełnionych bi- tym drukiem, jest w swoim rodzaju ma- lenkiem arcydziełem, czego się zresztą spodziewać było można po twórcy, profesorze londyńskim C. O. Buchheimie, który księżką swą o „Prozie Heinego“ wykazał niezwykle zrozumienie swego bohatera i zapamiętało kult jego w Anglii apostolstwo.

Miło jest spotykać się z podobną pracą, albowiem w powodzi paszkwilów, którymi literatura ojczyzny i cudzoziemska obraża pamięć znakomitogo liryka, zama- lał się światła prawdziwie bestronne, zamato umysłów przystępnych zrozumie- niu wyżyn filozoficznych, do których się on wspaniał i chętnych spokojnie osądzić błędy, jakie w gorączkowem swem życiu popełniał. Prof. Buchheim właśnie to mi- łość dla Heinego posiada, że wyrozumiałość dla grzechów posiada, od filisterskiej cias- noty w osenianiu przygód wędrowki

ziemskiej wolnym jest. Postąpił on wedle cennego przepisu: „kto poetę chce zrozumieć, niechaj do kraju jego idzie” i zbadał dokładnie wszystkie sprężyny złości, niecierpliwości, obłudy obydwaj, których ofiarą padła pamięć nieobczajnego „yda”. Dowiadujemy się stamtąd, że Heine był wprawdzie człowiekiem słabostek, że brako mu wytrwałości i konsekwencji w walce o zasady społeczne i państwowe, ale że w przemianach ewyich był szczerzym i równieś namiętnym szermierzem nowych godek, jak przedtem — saracynów. Świat nie może mu darować, że sprzeniewierzył się idealom demokratycznym, piastaważym z początku tak earliwie, i przeciwstawia mu Bornego, który w rzeszy amniej wydawał się wobec Heinego prawdziwym Brutusem; nie może mu zapomnieć, że „myśli sobie ręce, gdyby mu je lud uciął”, chociaż przedtem zapamiętało praw tegoż ludu bronili; że zdradzał ojczyznę, żyjąc we Francji i pobierając od niej żołd; że poróżniwszy się z Borne, zamiast odpowiedzieć na jego zarzuty i napasły, jak przystało na pisarza szanującego się, oczekiwał na śmierć jego i wówczas dopiero rozpoczął przeciw niemu kampanię, obryzgując błotem i jadem oia zmarłego i żyjących przyjaciół, którzy honoru awego aż w pojedynku musieli bronić. Moralność wielkoczwiniata nie może mu przebaczyć, że holdował miłości zmysłowej i że nie było na bulwarach paryskich Fryn, któreby by widzieli były mu nieznane; że polemizując z von Platenem, do czego był zmuszony wyieczkami przeciwo „żydostwu” i „czosnkowemu zapachowi” poezji, wystawił go na prawdziwego blaźn, wyzyskiwał nielitościwie i podał do windomości publicznej w przejrzystych wyrażeniach o pewnym występku bardzo tajemnej natury, uprawianym przez Platena. Poezja realna i polityczna oburzała się, że wyśmiewa „Parnas zrównany, zniwelowany”, pokrzyty szosami i siecią kolei żelaznych, na którym śpiewają się hymny na cześć „demokratycznego kartofla”, karmiącego tłum. Słowem, nie było stronnictwa, nie było człowieka, któryby Heinego nie pragnął w żywej wody utopić; ten za błazniarstwa, oż za zepalcę, trzeci za wiarołomstwo. Rozważając po kolei te rozmaite oskarżenia i zapasy z niemi w porządku chronologicznym, prof. Buchheim dotlekiem jest od ryzożalowego nasprawiedliwienia wieszczą, który, bądź co bądź, nie zawsze chwałobną się ducha i charakteru okazywał i nie robił zgola wrażenia postaci jednolitej, niezłomnej i niewzruszonej w sposobie myślenia; ale zestawiając owe wykroczenia z brzemieniem przesładoń i niedoli, jakie dźwigał, przynajmniej, że nie ma! niepodobiciarstwem było nie ugiąć się pod niemi. Pisarz stworzony do poezji, a zmuszany przez rodzinę do zawodu kuptońskiego, wiecznie skarżący się na biedę, trapiący niedostatkiem, a niezdolny do zarobkowania w inny sposób, nie mógł oprzed się hojności sądu francuskiego, który jedynie z pobudek szlachetnych wspierał emigrantów, szukających u niego przytułku i gościnności. Wychodziło to nie z inetywaty jakikolwiek partji, lecz z rąk Guizota, który „nie mógł odmówić kawałka chleba” takim, jak Heine; jego przyjaciół, droczonym talentem. Ale kłamstwem jest, jakoby ten stosunek miał w czemkolwiek uchylać czoł obywatelskiej poety. Pomimo ciosów nielitościwych, odbieranych z ojczyzny, pomimo całego owego ogromu kłatów, jakie nań spadły z rodzinnych stron, a które każdego innego zrobiłyby renegetem — kochał Niemcy miłością bezgraniczną, głęboką; cierpiał na ich dola, burzył się na ich ciemności, wyćwagał dlonie do brzozy po duchu i nawet wówczas, kiedy, zdawało się, najbardziej do francuzów się zbliżał i literacką wódm rozpoczynał działalność — miał jedynie na celu ozławienie poezji

niemieckiej na obczyźnie. Lecz od sumienia i sądu rodaków oddzielał go chiński mur potwarzy i intryg, przez które palące jego słowa przedostają się do soro nie mogły. Państwa niemieckie zobowiązały się nie wypuszczać do kraju ani samego autora wraz z resztą „Młodych Niemców”, ani jego pisma, niezależnie od czasu i języka, w jakim by się ukazać miały. Drakoński ten środek stosowany był nieugięto i trzeba było prawdziwych cudów, by przeniósł jakiś utwór na grunt niemiecki. W tych warunkach zawiódł i podłość przeciwników mogły sobie swobodnie hulad po Niemczech i złotyć się na taką górkę nieślawą, że jej dingo jeszcze, długo rozkopać nie będzie można. Do tego dzieła oszczerzenia grubo przyskładał rękę niegdyś droh, a dziś wróg — Borne; cóż dziwnego, że tłumiona tyła czasu wsiecił kół, ból i sąda odwetu zahuczał huraganem w łonie spowieirwanego niesłusznego i wylały się na zewnętrzne potokiemi złości? Trzeba pojąć te otchłani cierpienia i bezsilnego gniewu, by bez obawy stronnictwa ocenić postępek Heinego; trzeba wiedzieć, że gdy mu groziła już choroba śmiertelna i kaszala ratowała się u znakomitego lekarza w Berlinie — wówczas jeszcze władze pruskie wróciły mu nie pozwoliły i ginał wśród obcych zmuszły. Zasługą to jest niemal Buchheima, że cały ten ucisk zewnętrzny, wywierany przez literaturę państw i kler, obnażył, że odwołując się do ustępów, gdzie Heine kategorycznie poglądy swoje rozpowiada, pozwala mu się bronić samemu, a więc najskuteczniej. Z ryzyku w tych widziemy, że był to temperament wrażliwy i czuły, kochający rodziców, rzewnie i głęboko, przywiązany do żony swej Matyldy jak niewolnik, dbały o dobro jej nawet w chwilach przedśmiertnych mezarza, że owych, głoszących zbrodni, cudzołazów nie popelał, miłował w rozpucie nie kałał, lecz poddawał się jej tylko wtedy, gdy była silną, odważającą i niezwykłego niebezpieczeństwa za następstwo nie miał.

Nie snujemy dalej tego lańcucha oskarżeń i nasprawiedliwień. Prof. Buchheim w swoim zwięzłym szkicu nie przeocza plamiących pamięć Heinego reminiscencji, owsem, śmiał o nie potraga, ale doprawdy, na te katusze poety maleją one niestety. Chociaż, co okiem myśliciela i artysty badał Heinego, dla tego ów temat do obron jest zbyt czynnym; ten widział w nim zawsze wielkiego bojownika, znakomitego wirtuozu poezji, genialnego satyryka-filozofa. Lecz dla innych, wobec pamphletów niepopowolanych krytyków, jakich i w naszym piśmiennictwie nie brak, a jacy stawiają wszędzie wielkość — podobny życioż jest wymowna wskazówka, że w zwierciadle gruntownej, jak Buchheima, znajomości przedmiotu, przedstawia się on inaczej, plastyczniej, wielostronniej. Takie, co zauważył Heinego „blaźnem na Parnasie”<sup>\*)</sup>, znaleźć można nawet wśród najwyższej, niepodległej inteligencji.

Studjum prof. Buchheima jest holdem poważnym, spokojnym i uroczystym i zaleca się pięknym wykładem, przemawiającym prawdziwie do duszy czytelnika.

O innym holdzie, bardziej zasławnym i oddawna oczekiwanym pomówimy następie.

N. Herzband.

## FEJLETON.

### LIBERUM VETO.

Jednostki równouprawione w gromadzie. — Bibliografia i statystyka. — Szóste mocarstwo. — „Postępy

literatury peryodycznej” p. S. Czarnowskiego. — Prasa całego świata. — Nasz skromny w niej udział. — Literatura w plamach peryodycznych. — Kulka i danielnik. — *Przemysłowiec*. — Przyczyny naszej niemożności ekonomicznej. — Sprzedaż narzisk jako niespodziewane źródło dochodu. — Zabawa gimnastyczna dzieci.

Do pownego stopnia słuszny zrobiono zarzut mojej uwadze, że grosz w słotkowce i dukacie postaje się groszem. Tak, najniższa, najdrobniejsza jednostka zyskuje na wartości w gromadzie. Ziarno psianki jest niezem, przez położenie — miliozem inny staje się cieżm. Masa obniża wielkość, a daje wielkość małym. Najmierzniejszej lotr jest równoprawiony z najszlachejniejszym dobroczyńcą — w statystyce, a głupiec z mędrcom — w bibliografii. I tu i tam nie ma żadnej różnicy między głową a głową. Bibliograf, śpiącemu draki, stawia Mickiewicza obok Rozbickiego, dla statystyka tyle znaczy Hamlet, co Poloniusz — jednostka. Literatura posiada milion dzieł, ludność — milion dusz — w tym milioie stapiąją się wszelkie różnice a ilości najmniejszej przyjmują równy udział z potęgami najwyższymi w wyrażeniu sumy.

Prasę nazwano „szóstym mocarstwem”, ale wtedy dopiero, gdy pisma peryodyczne rozroszły się jak owady. Dopoki była niezłomna, lekceważono ją. I dziś zastanawiamy się nad marnym światkiem, nie dostrzegamy w nim nawet cząstki owego znaczenia, jak nie dostrzegamy go w żdźbale trawy. Dopiero gdy to żdźbale, te światki dodamy do innych i do planet dużych, otrzymujemy masę — „mocarstwo”. Gdyby był duszą najgłupszego dzienniczka i gdyby mi wyznaczono moją mikroakopowa małość, przez lek smutku śmiechałbym się do statystyki — w niej widzielibym jego chwale, jak żołnierz, który dla dodania sobie odwagi myśli ciągle o całej armii, do której należy.

Na podstawie olbrzymiego katalogu Hubbarda p. St. Czarnowski obrałował i wykazał rdy dziennikarski całego świata. W roku tedy 1880 nad kulą ziemską krążyło 34,274 motyle papierowe. Najwięcej wylęgało się ich w Europie (19,557), najmniej w Afryce — 182. Prądzący ludy anglo-giormskie (24,830) — szary koniec tworzą słowiańskie (1,107). Z krajów pierwsze miejsce zajmują Stany Zjednoczone Ameryki, ostatnie — Polinezja.

A czemu jesteśmy pod tym względem w stosunku do narodów najbardziej cywilizowanych? W Anglii jedno pismo przypada na 8,634 mieszkańców, u nas na 52,178; kiedy Londyn matego rodzaju wydawnictw 1,961, Warszawa — 60. Aż mroć przechodził przy tych cyfrach.

Jednakże postępujemy. W r. 1700 mieliśmy 4 pisma poryodyczne, w r. 1884 — 230.

W ciągu roku na świat cały z dzieł prasy spada 7,344,956,805 egzemplarzy. Grad strzałów. Dnao w nich wiedzy, myśli, uczuć świeżych? Ilo nasion, z których wyrastają plony żywiole ludzkości? Sądzę, że bardzo mało. Natomiast sterty plew i kółków, morza blagi, inny czozej paplaniny i spekulacji. W tym ogromie zmieszały się żywioły najróżnorodniejsze. Bo jakaż to czoja je łczy? Czyżto zewnętrzna — peryodyczność. Właściwie zaś, co może być wspólne między wydawnictwem naukowym a dziennikiem giełdy? Co może być wspólne między gazetą polityczną a organem badań przyrodniczych? To, że wychodzą w stałych terminach i drukują się na papierze czoimkami? Zaisie, rozkłady jazdy kolejowej powinny również należeć do prasy.

Przez jej pole przechodzi, a przynajmniej powinien być przechodzący głęboki rów: po jednej stronie tego rowu niech się rozciąga literatura, po drugiej przemyśl z handlem. Nie lekceważaj ostatnich, tylko śmiejąc się, widząc je w niezasłużonych ga-

\*) Tak miało nazwał Heinego, niewiadomo z jakich powodów, pan Spasowicz w swoim odczycie o Hamlecie.



lonach. Ja, ty, czytelniku, my wszyscy chcemy odczulić być obłożeni w po-  
w-nych potrzebach, których sami zaspokoić  
nie możemy. Każdy z nas pragnie odczuć  
wiedzieć: jakie wypadki zaszły w Europie,  
w kraju i miejscu naszego pobytu, jakie są  
ceny produktów żywności, kursa pienię-  
dzy, rozporządzenia rządowe, pory przy-  
jazdu i odejścia pociągów, widowiska tea-  
tralne itd. Jest więc rzeczą bardzo słu-  
żącą, że powstają organy, które nas o tem  
wszystkiem powiadają. Jest to takie  
same przedsiębiorstwo, jak dostarczanie  
mleka, bułek, dorozek, posłańców publi-  
cznych itd. Ale co ten arkusz papieru,  
przynoszący nam nowiny i objaśnienia,  
ma łącznego z literaturą, nauką i sztuką? Od-  
cinek powieściowy lub artykuł krytyczny?  
W krajach, gdzie prasa codzienna stała się  
ślabostką interesów praktycznych, jej po-  
wieści, poczyty i artykuły bywają odpo-  
wiednio fabrykowane. Zresztą, zdaje mi  
się, że z tych przybytków spekulacji nie-  
długo wypędzone będą nawet pogwałcone  
i sprzedane muzy, zostając tam tylko prze-  
mysł, handel i polityka.

Nadto i w tak zwanych pismach lite-  
rackich często tyle hywa literatury, ile jej  
wymaga — bibliografia. Książka budzi  
szacunek, ośmielała pisać o niej lekko-  
myślność i zuchwała głupota; arkusz pe-  
riodyczny — nie. Na nim rozsławia rozle-  
wać się będzie mózg najbardziej rozro-  
dzony, zdolny pomazać przedmiot, pewny,  
co jego kropki zatoną po przetoczeniu się  
dziennym lub tygodniowej fali. Wydobądź  
jako z jednego wypadku, rzucić słowa na  
wiatr, które je uniesie i zaprzędną, kar-  
mić nie rozum i pamięć czytelnika, ale je-  
go chwilową ciekawość — na to od wagi nie-  
potrzeba. Co innego książka. Ta wymaga  
wiedzy, planu, ciągu, logiki lub talentu —  
przymiotów, które nietylko są rzadkie,  
ale i rzadko podrabiane. Dlatego literaci  
dziennikarstwo rodzą się jak bedki, a książ-  
kowi — jak trufle; dlatego na tysiąc ko-  
tów przypada jeden lew.

Pojęcie zatem „prasy” jest z wielu  
względów szczeniłem, nie zawiera w sobie  
pierwsiatku jednorodnych, jej zaś rozwój  
nie wyraża postępu „oświaty”. Stanowi  
ona sklep, w którym dostać można wszyst-  
kiego: natohien poetycznych, badań na-  
ukowych, wywodów moralnych, ale także  
plotek, łgarstwa, anegdot, przepisów pra-  
ktycznych, za podstępnych i wielu innych  
towarów. Gdyby ktoś założył magazyn,  
w którym by na pulkach obok brylantów  
położył podkowy, obok aksamitu — ser-  
dółki, obok materij jedwabnych — po-  
stronki, obok książek — nąfę — stworzyłby  
coś przypominającego „prasę”.

Nasza bardziej niż inne odbija w sobie  
literaturę. Jest to zapewne z jednej strony  
objaw, którym cięższe jest trudne, ale z  
drugiej świadczy, że stosunkowo mniej  
lękamy się ciężkiego kursu. Posiadamy np.  
23 dzienniki a 78 tygodników i 67 (?) dwu-  
tygodników — dowód, że „światło moca-  
stwo” a nas przeważnie zajmuje się spra-  
wami umysłowymi. Jak — to rzecz inna.  
Służba w tych szereżach łatwa, więc ochot-  
ników wielu. Są nawet obozy, pulki, ro-  
ty, stendary — osadem helmy tekturowe,  
palasze drewniane, armaty ze starych ry-  
nion, naboje z grochu, mundury z koloro-  
wego papieru, a chorągwy powiewają ma-  
łym rycerzom z tytu, lecz taka armia  
istnieje wszędzie.

Niezmiernie ciekawe i charakterysty-  
czne są w naszej prasie przemiany jej ga-  
tunku ekonomicznego. W ciągu ostatnich  
lat 20 pod rozmaitemi postaciami powsta-  
wał i zamierał organ poświęcony gospodar-  
stwu społecznemu. Te kilkakrotne jego  
egony przekonywają, że w społeczeństwie  
podstawy nie miał lub potrzebom istotnym  
nie odpowiada, ciągle zaś zmierzwił wsta-  
nia świadcza, że to potrzeby, chociaż może  
nieodśrodek szeroko odczuć, istnieją. Pod ko-  
niec roku obecnego wystąpiły znowu dwa

pisma ekonomiczne: *Tellus* z założeniem  
bardziej specjalnem i *Przemysłowiec* z o-  
gólnem. Ten ostatni zaledwie ujrzał świa-  
tło dzienne. Jak widać z odeszy, pragnie  
on mocno wybić akordy swojskości.  
„Nie ludzmy się tem — powiada — iż  
przemysł istniejący obecnie u nas jest na-  
szym. Stworzyła go i dźwierz obca rękę,  
wysysająca dla siebie wszystkie soki ży-  
wotne, podczas kiedy sąły miejscowe albo  
stoją na uboczu, załżywszy apatycznie  
ręce, albo biorą się do rzeczy niuimieja-  
nie, aby niebawem upadł pod ciężkiem  
przewagi cudzoziemczy i powiększył  
szeregi rozczarowanych, nieufających ni-  
komu i niezemu... Wierni zatem tytułowi  
naszego pisma będziemy rozbudzać prasę  
gospodarczą w naszym kraju, bronie jej  
praw tak na polu ekonomicznem i spo-  
łecznem, jak technicznem.” Trudno orze-  
ca, na co my bardziej skazujemy powinniśmy,  
czy na „obcą rękę”, która „wysysa dla  
siebie wszystkie soki żywotne”, czy na  
„nasze ręce założone apatycznie lub biorące  
się do rzeczy niuimiejać”. Bo sta-  
tecznie czy można złorzeczyć, a nawet  
dążyć się tej „obcej ręce”, że u nas „stwo-  
rzyła i dźwierz” przemysł, kiedy my go  
dotąd „stwarzać i dźwierz” nie umiemy,  
a nawet często otaczamy zagard? Cho-  
mu przebaczymy kaprysy i drażliwości:  
pobieżliwie też należy sądzić wstręty na-  
szego społeczeństwa do gorzkiego lekar-  
stwa, do wszelkiego krytycyzmu. Ale niepo-  
dobna ulegać tym wstrętom w interesie je-  
go zdrowia. Los wtedy by nam dogodził cał-  
kowicie, gdyby usunął „rękę obcą” a w na-  
szą włożył pieszczony gołbika, Stanowczo  
w tej sprawie sądzamy zawiele od niego,  
za mało od siebie. Nad rozwojem prze-  
mysłu krajowego musimy pracować nie  
samem utyskiwaniem, nie marzeniami o  
olach, ale także zdolnością i umiejętnością  
prowadzenia walki współzawodniczej. Ze  
wszystkich wytworów ludzkich najmniej  
uczuciami się rządzi przemysł. On wychodzi  
na rynek jedynie ze swą wartością  
materiałną, a nabywcy pytają o jego  
przymioty użytkowe i cenę, a nie o pocho-  
dzenie. Nowy organ rozpoczął w pierw-  
szym numerze wykazywać „przyczyny na-  
szej niemożności przemysłowej i możliwe  
środki zaradzić” do przynajmniej ekono-  
micznych — według p. Kosza — należał prze-  
dewszystkiem: „przeszkody stawiane prze-  
mysłowi naszym przez „pasorazytów” — nie-  
miecki” oraz gospodarkę spekulacyjną ży-  
dowskiej, gdyż nawet „nasze wielkie in-  
stytucje kredytowe grają w tym razie ro-  
lę kanałów, którymi zaszczerdzący grosz  
z całego kraju spływa do rezerwaru ży-  
dowskiego.” A więc znowu biesy siedzą  
tylko zewnątrz nas! Stara to bawelna,  
w którą oddawna owijamy sobie prawde.  
Produkt ten nie powinien być wyrabia-  
nym w *Przemysłowcu*, który wtedy dopie-  
ro swym czytelnikom dobrze radzić będzie,  
gdy przestanie odprawiać wobec nich na-  
bożęństwa z kółem ofiarnym. Warunki  
duża winny, ale czyż tyle, żebyśmy mogli  
pokwitować siebie bez zastrzeżenia z u-  
słowian?

Istnieje przemysł, którego nie zaniedby-  
waliśmy i który posunął się dużym kro-  
kiem naprzód: mówię o rodowodach. Po-  
siadacze „pieknych” nazwisk i dobrych  
herbów mogli z nich zawsze zrobić uży-  
tek, klejnoty wszakże w świecie myśli  
znalazły nową postać zbytu: oto — do-  
nosy *Kuryer* u — jakiś pobleżony dorosły  
kupił sobie przybrane ojcowstwo u jakie-  
goś szlachcika. Z rodzimem nazwiskiem,  
z rodzonym ojcem nie było mu wygodnie,  
został więc synem człowieka obcego. Jeżeli  
to prawda, a nie koncept zmyślony na po-  
ciechę tych, którzy nie innego nie mają do  
sprzedania, przynajmniej, że to ciężkie o-  
czywiście „ratowania pozycy” wale nie  
zły. No, i kto by się spodziewał, że ka-  
dy „świat” z „porządnej” familii, choćby sta-  
cił wszystko, może jeszcze coś dostać za

wieczystą dzierżawę swego nazwiska — i to  
dzierżawę niezmopolizowaną. Wszakże  
żadnemu „synowi” przybranemu nie to  
szkodzić nie będzie, że jego „ojciec” wielu  
innych przysza za swoje dzieci. Odkrycie  
tego źródła dochodu dla wielu równa się  
wyznalezieniu srebrnej żyły w majątku  
wystawionym na substancję. Ileż stąd  
spłynie szczęścia na ludzi. P. Kropkowski  
został turekim świętym — adoptuje 20  
synów, którzy mu płacą po 3 ra, miesię-  
cznie i ma dożywotnią rentę. Pan Przyl-  
luska chce się żenić z bogatą panną Tombak,  
żydówką, której nazwisko pozostaje się nie  
da wynajmuje dla niej ojca z „pieknem”  
imieniem — i ma szlachciankę. Słowem,  
dawno już nie wynaleziono sposobu skut-  
teczniej rozwiązywać wiele zagadnień  
społecznych.

Dieci nas zajmują — śliczny objaw!  
Metoda Winnickiego legła w składzie sta-  
rych rupini, natomiast sprowadziliśmy  
sobie i sprowadzamy systemy wychowa-  
cze nowsze. Po karnawale letnim w Zwie-  
rzyżnem zaczęto urządzać zabawy gimnasty-  
czne w Tattersals. Dziwnym trafem drugi  
raz zwierzęta dają przytulek dzieciom.  
Nowy jednak pomysł nie zwabił tylu chę-  
tnych, co poprzedni, chociaż nie brakuje na-  
wet bufetu. Czyżby i maledźstwa niegł  
głównie taniec? Piay w Zwierzyżnem cie-  
szyły się obrazyim powodzeniem, do  
Tattersals na ćwiczenia gimnastyczne  
przychyla, a raczej przyprowadzone szu-  
płą gromadkę drobiusz. Ośmielona ba-  
wila się ona ochotą i bawiłaby się jeszcze  
lepiej, gdyby była licniejsza. Pisma za-  
naszają, że oprócz kilku wyjątków, nie  
przeostrzono dzieci. Niech tam zapanuje  
moda skromności, gdyż i inaczej kosztownie  
ubrane lalki zrobią naprzód wystawę dro-  
giej majtek i kurtok a potem wypłoszą  
biedniejszych towarzyszy, o których tu  
głównie chodzi. Papugi bowiem i kolibry  
znajdą zawsze dla siebie rozrywkę, tylko  
szare wróble muszą jej szukać.

Poeel Prandy.

## NA WIDNOKRĘGU.

Moralność ewangelicka i katolicka w Łodzi. — Apo-  
stolowanie *Diennika* *Idziadego* przeciwko drobnemu  
przemysłowi. — Rzeczą wydaliśmy 116,000 rs., niktby-  
my szewstwinem obrablił niemców. — Wyprawa na-  
szych ekonomistów na depozyta Tow. kred. ziem-  
skiego. — Cena rekomendacy w łamach *Kroniki* ro-  
dzinnej.

Do wyszukiwania i opracowywania  
przedmiotów interesujących posiada *Diennik*  
*Idziadego* niewątpliwie zdolność większą  
i siły zasobniejszej, niż inni pryncypalowie  
jego koleady. W ostatnich kilku nume-  
rach spotykamy w nim obszerny artykuł,  
oparty na danych liczbowych szczegóło-  
wych, p. t. „Ruch ludności w Łodzi w 1884  
i 1885 r.” Jest to zsumowanie stałego  
działu, prowadzonego w tem piśmie p. t.  
„Statystyka ludności”.

Z tablic statystycznych *Diennika* wi-  
dzimy, że ludność katolicka wchodzi  
w związki małżeńskie przeważnie w stycz-  
niu i lutym, przed wielkim postem, jako  
też w październiku i listopadzie, przed ad-  
wentem. W marcu i grudniu z przyczyn  
kocielnych nie było ślubów. Ewangelicy  
idą poniekąd za tym samym przykładem.  
Śluby żydowskie w ciągu obu lat uległy  
również falowaniu: największe ich liczby  
przypadają na początek pierwszej połowy  
roku (styczeń i luty) i w drugiej połowie  
roku, na jesień.

Wogóle było małżeństw:

	1884 r.	1885 r.
katolickich	509	663
ewangelickich	467	378
żydowskich	108	127
razem	1084	1168

Z ilości słubów nie można wszakże wnosić o zawarty związek, ponieważ — mówi *Diennik* — wśród ludności, biedniejszej zwłaszcza, bardzo wiele związków powstaje w drodze dobrowolnego porozumienia się, bez zawierania słubów kościelnych i ponieważ wśród ludności izraelskiej słub bardzo często bywa niemałowany w zarządzie gminy, przez co nie figuruje w spisach." Stwierdzenie powyższego spostrzeżenia widimy w cyfrach narodzi. *Diennik* zestawia to cyfry z podziałem na dzieci żywo i nieżywo urodzone, słubne i niesłubne, a nadto według płci i miesięcy. Zauważa, że urodziło się dzieci:

	w 1884 r.	w 1885 r.
	słub. niesłub.	słub. niesłub.
katolików	2617 280	2880 216
ewangel.	2172 71	1958 87
żydów	721 3	1261 4
razem	5510 304	6079 307

Jeżeli pominiemy statystykę urodzeń żydowskich, jako oczywiście fałszywą (w przedzigu dwóch lat podano np. tylko *troje* dzieci nieżywo urodzonych na 235 zameldowanych urodzeń), to z porównania stosunków urodzeń słubnych do niesłubnych u katolików i ewangelików uderzające otrzymamy wyniki, na które — dziwna — że *Diennik* nie zwrócił uwagi. Znajdujemy tedy następujące odsetki urodzeń niesłubnych w porównaniu do ogólnej liczby urodzeń:

	1884 r.	1885 r.
u katolików	8,08%	7,02%
u ewangel.	3,16%	4,25%

Czemu to różnice przypisać?

"Naprawdę zdaje się — mówi Haushofer (*Wykład statystyki*) — staranno się wykazać wpływ na prowadzawia i wyznania na procent nieprawych dzieci. Wpływ taki należy raczej upatrywać w odrębnościach danego narodu i w miejscowych zwyczajach."

Rzeczą jest pierwszorzędного interesu dla ludności katolickiej miasta Łodzi wiedzieć, o ile tak znacznie wyższy moralny poziom u ewangelików jest wynikiem podłoża materialnego robotniczych klas katolickich i na jakiej drodze możnaby przystąpić podniesienie tej ludności z punktu, a mianowicie zabezpieczenie robotnicze od pożydlivosti różnych fabrycznych zwierzochników.

W tom samym piśmie znajdujemy pobieżne streszczenie pracy p. Bezobrazowa, członka Akademii nauk w Petersburgu, p. t. "Studia o ekonomii narodowej w Rosyi." *Diennikowi* *Łódzkiemu*, wychodzącemu w miesiącu pełnem wielkich fabryk, podobają się "odpierać teorii broniowej przez zapalających sfrontów małego przemysłu," zawarte w opisie rozległego okręgu części zachodniej powiatu niżno-nowogrodzkiego, Ardatowa, Gorbatawa, Pawłowa i okolic, gdzie przemysł drobny panuje niepodzielnie. "Okolica ta jest sławna przez swoje wyroby metaliczne: noże, widelce, szczytki, brzytwy, nożyce, zamki są tam wyrabiane w ilościach olbrzymich i rozchodzą się po całej Rosyi. Jest to tryumf przemysłu drobnego, ale zarazem tryumf rutyny. Każdy pracuje u siebie wedle sposobów przekazywanych z ojca na syna. Przetwarza się pewne modele, przytę raz na zawsze i nikt nie myśli o ich udoskonaleniu. Metoda zaoferna, nieznajomoja najelementarniejszych prawideł techniki, czynia zresztą wszelki postęp zbyt trudnym. Brak kapitalu, brak wszelkiego doświadczenia handlowego... oddają drobnych przemysłowców na łaskę kupców i kapitalistów *niezwolecznych*. Kupcy hurtowi, nieliczni w centrach handlowych, a nadeszłysetko po wszech, są w porozumieniu i tworzą zmwow... Trudno sobie wyobrazić coś bardziej opłakanego nad stan Pawłowa i wiosek okolicznych. Sam widok Pawłowa jest ponury. Brud i nie-

porządek posunięto tam do ostateczności. Pracują tam wszędzie, we wszystkich domach, a nawet po ulicach... Wielka liczba ludzi nagich biega po mieście bez ubrania, którzy zdejmują podczas pracy z powodu upału w kuzniach... Nędza w Pawłowie jest nieustająca, dziedziczna, dotyka całej klasy robotniczej i mimo wszelkich przedsięwziętych środków (?) dotychczas nieleczalna. Wyteńszenie pracy dosięga tam maksimum niewolnoroznego. Największą część robotników pracuje tam po 15—16 godzin dziennie, a wielu z nich, zarówno mężczyzn jak i kobiet, po 18 godzin dziennie." Lekarstwo na to wszystko *Diennik* łącznie z p. Bezobrazowem upatruje w "zastosowaniu siły mechanicznej albo wielkiego przemysłu."

Oay tylko w istocie innego niema lekarstwa, mianowicie zaś, czy doprawdy *przedsięwzięto wszelkie środki*, żeby nędzę tamczonych robotników poprawić? Z przytoczonego ustępu nasuwa się domysł, że pomiędzy tymi środkami o dwóch drobnotkach nie bardzo pamiętano: o wykastalceniu fuchowem i o rozwinięciu stowaryszew. Być może, iż dźwignie to choć w części zrównoważyłyby nieobecność "wielkiego przemysłu." Bez nich w samej rzeczy może dla robotnika praca w wielkim przemyśle jest korzystniejszą, niżeli w drobnym, zwłaszcza jeśli ten drobny przemysł jest uprawiany nie w chwilałach wolnych od zajęć rolniczych tylko, ale pochłania w zupełności życie robotnika.

Nim wyjdzie z dziedzin spraw przemysłowych, pozwól sobie wskazać przykład, jaki naszym kupcom daje handlarz parysej. Nie pozycyli oni na togoroczno gwiazdce żadnych zamówień za granicą, lecz tylko u fabrykantów paryskich. Oburzona *Tägliche Rundschau* berlińska, obwinia prasę francuską o wzbudzenie takiego szowinizmu. My zapłaciliśmy w roku zeszłym samego cła od zabawek, sprowadzonych z zagranicy 114.760 rs. i w bieżącym roku zapewne szowinizm nie rozgniewamy gazet berlińskich, owszem, sprowadzą bieżącyemu niemieckie fraszki niemniej obcozo jak dotąd, mimo że tyle krajowych fabryk zabawek nabydowały w ubiegłym roku... reporterzy kuryerków.

Niektórzy nasi ekonomiści gaciarscy znaleźli ratunek na brak kapitalu w przemysle. Proponują uruchomienie milionowych depozytów, złożonych w kasach Towarzystwa kredytu ziemskiego. Spotkawszy się kilkakrotnie z tem pomysłem lekarstwem w lamach naszych czasopism, brud byłem, kiedy przypadek wsunął mi w ręce "Zdanie sprawy dyrektory głównej Tow. kred. ziemsk. z czynności dokonanych w czasie od 1. (12) listopada 1885 r. do 1. (13) maja 1886 r." Sprawozdanie to ukazało się w druku pod koniec sierpnia b. r., daje więc zapewne najawiejsze, dostępne publiczności materiały. "Niema dywan bez ognia" — mówi przysławie. Towarzystwo kredytowe posiada rzeczywistie depozyty i to w imponującej sumie. Składają się one z papierów procentowych, własność Towarzystwa stanowiących, z depozytów spornych, z fundusów dla niezgłaszających się po odbiór należności za wylosowane listy zastawne i kupony ubiegłe, z wpływów na rachunek rat, które to wpływy mają posłużyć do następnych wypłat, wreszcie z fundusów na administrację władz Towarzystwa. Która też z powyższych pozycji chcą uruchomić światli projektodawcy?

Innego rodzaju pytanie, już nie z ekonomicznego, ale z moralnej dziedzin, pragnąłbym wyśtosować do *Kroniki rolniczej*. Ościogda ta spółdzielnia duchowa biologicznych naszych uważała za stosowne polecić im do czytania i rozmyślań książkę p. Leo Taxila p. t. *Siostry wolnomularki*. Idzie o to, żeby poinformować nasze panie: 1) co to jest wolnomularstwo i 2) jakich też bezczelność i sprośność dopuszczają się wolno-

mularze z wolnomularkami. Pokarm to pożywny i soczysty, a kucharz, który go przyprawił, ma ustaloną firmę. P. Taxil — to niestrudzony pracownik na uśmie pornografii. Dla niego każdy przedmiot dobry, co się do tłustych opiów nadaje. Studjuje zarówno konfesyonal jak domy publiczne — a zawsze z tego punktu widzenia. Żeby rekomendacja tem pewniejszy skutek odniosła, *Kronika rolnicza* przytoczyła u niej rozciągłości opisu rozdziałów książki o *Siostrach wolnomularkach*. Spis ten obejmuje trzydzieści kilka wierszy petiowych, niezmiernie zaciękwiających, przesianych wziankami o Wenerze, o Nimfach rożanych, o przysięgu miłości itp. Ze ościogda redaktorka *Kroniki rolniczej* sama uraczyła się koronną lekturą, tem nie mam się prawa gorszyć. Ale czy nie było przyzwolenia użyć tej przyjemności w ciszy i tajemnicy, nie zachęcając do niej czytelników? Lubiemy powstawać na niemoralne romanse. Ale niemoralnych moralistów propagujemy dyskretnie. Figielki... figielki... a nieładnie!

K. Zbrucki.

## POD MIKROSKOPEM.

Rzeczywistość jest cienna,  
możliwość — niezmiernoga.

I.

Na początku tego miesiąca redaktorka *Ho-dowej* miała prospekt, w którym zapowiedziała wydanie *Encyklopedji rolniczej*. Dzieło takie wyszło przed 10 laty, ale zostało rozkupione. Nowy nakładca przeto miał pole opróżnione — jak mniemał — odpowiednie pod świeży zasiew. Zebrał liczne grono współpracowników i jakkolwiek dość naiwnie nazwał wszystkich — a między nimi i siebie — *napierusznicy porwami* w kraju i zagranicą, nie pomnąc, że co innego Pasteur, a co innego p. Kottbaj — przedstawił poważną rokgimję dla swego przedsięwzięcia. Czego mógł się obawiać? Tę jedynie, czy *myś białocana* się udu, czy *Encyklopedja* znajdzie tyłu nabywców, iia potrzeba na pokrycie kosztów.

"W tom tylko miejscu jestem śmiertelnym" — mówił on zapewne do siebie, wpatrzony w gwiazdę noworoczną. I słusznie doznawał tej obawy. P. Owiarciekiewiczowa lub ks. Dunin nie wyszali mozo pęszymu z pierśi obecnej chwili, ale wielo autorów i wydawców, doświadczyło, że dziś książka, zwłaszcza gruba i ciężka, "zwęzonym przemyślim handlu przedostaje się z trudnością. Wielkiem powodzeniem cieszą się premia i wszelkie "bezpłatne" dodatki, ale nawet rubla za trzy zeszyty — łatwiej u gęsi dostać owsa a u chłopca smoly.

Przypuszczam, że nad tą kwestyą rozmyślał p. Kottbaj, zanim puścił swój prospekt, i że wreszcie uspokoił się następującem rozumowaniem:

— Tamta *Encyklopedja* szybko rozchwytała; chociażby moja popłynęła nie pod tak mocno wędym żaglem, jednakże nie zatonię, bo nie ma współzawodnictwa, któreby ją zatopilo. Będzie sama, to dużo znaczy.

Ale — ostrzega poeta — "nie ciesz się, gdyś potęgi losu są zadowolony, a przedwczesna radość wkracza w ich prawa."

Gdy tak p. Kottbaj dumal, rozjaśnającą wątpliwość wiarą w samotę swego zamiaru, nagle, bez chmurki, bez grzmotu, spada na niego piorun. Mianowicie jedna z gazet ogłasza nie winną wiadomość:

— Współwłaściciele pierwszego wydania *Encyklopedji rolniczej* ustąpili swoje prawa Muzeum przemysłowemu, przekazując mu nadto wszelkie kilzsa drzeworytne wartości około 10.000 rs. Muzeum przystąpii niehawem do pracy nad nowem wydaniem i poszczeniem go w świat. Kierunk redakcji powierzono byłemu profesorowi Instytutu w Nowej Aleksandryi, a o-



bieńscy radcy Towarzystwa kred. ziem. p. Tadeuszowi Kowalskiemu.

Jezeli p. Kothnubaj, czytając to doniesienie, zaopatrzone gorącą pochwałą dla Muzeum, prześląc oczy w przypuszczeniu, że one go mylą — wcale się temu nie dziwie. Użyć bowiem o zamierze wydania *Encyklopedyi rolniczej* wtedy, kiedy się zamierzy wydać *Encyklopedyę rolniczą* i mniemano, że dawna umarta — jest to mniej więcej względną słąb z wdową, której nieboszyk już zjawił się przed nowożeńcami, odchodzącymi od ołtarza.

Sprawa ta jednak ma mniejszą stronę komiczną, niż poważną. Ponieważ oba przedsięwzięcia ogłoszone zostały publicznie, władz zatem dwie *Encyklopedye rolnicze*. Czy one mogą liczyć na rokup nawet w zakresie kosztów nakładu? Czy jedna warstwa małego społeczeństwa, warstwa nienajpohodniejsza do nabycia książek naukowych a obecnie zubożona, może podtrzymać takie dwa dzieła i jednorodne dzieła? Czy na zewnętrznej wartości tych dzieł nie odbije się ściślejsza współzawodniczość ich rozprowadzających? Wątpię trudno.

Na złość próbie kobiety ubierającej się, na złość gładziarce obniżającej kursa papierów publicznych, na złość robimy sobie wzajemnie wiele figłów, ale na złość wydawcy książek nie należy. W każdej dziedzinie literatury zdolnych pracowników nam brak, rozdrabnianie więc tych maleńkich gromadek dla mnożenia tożsamości siłami niedostatecznymi jest objawem historyi, z której winniśmy się ułoczyć. W tym wypadku najlepiej zrobić oba przedsięwzięcia, gdy się potęgą; walka nie da zaspokojenia zadowolenia, a społeczeństwu korzyści. Już dosyć mamy nasładowców. Rzeczywistość jest cisa, możliwość niemierna. Czy dla energii, zdolności, mało posiadamy pola niekietknięte i musimy walczyć na karze tym, co jakiś zagon oraz! Ie my sami populiśmy sobie warzatarost pracy niezgodą! Ie trzejcy rubli utopiliśmy bezowocnie w bibule czernionej bez potrzeby!

## II.

„Dawajcie, ale jeśli możecie, oszczędźcie biadnemu wstędy wyciągnięcia ręki.” Według rady Diderota zaczęto żebrać kom naszym „oszczędzać wstędy wyciągnięcia ręki” — a ta wspaniałość myślności wcale im się nie podobała. Otwarto gościnne przytulki, od których aciekają, jak od węgla. Wstąpił ten objaśniający wypadki — jeśli prawdziwe, w których — według zapewnienia *Kuryerów* — znajdowano w kieszeniach dziadawskich papiery procentowe sum znacznych. Zamiana sówitego dochodu z jałmużny na skromne utrzymanie w przytulku — niepołączna. Bronią się też żebrać, jak przeproszone zrzęcy. Niekiedy z nich prawdopodobnie zrzęcy łachmany i przyzwykła szaty porządne, wystąpią jako kapitaliści, a może nawet otworzą salony. Nedra jest święta, ale jej wyzysk podłym. Raemiość dziadawców ogarnęła u nas netylko biednych i kaleki, ale także mnóstwo próżniaków i oszustów. Rewizja tego cechu była i po wsze czasy będzie konieczną. Jezeli niepodobna dziś jeszcze z ulic i z pod kościołów usunąć tych nieszczyśliwych narodzi społeczeństwa, niechże przynajmniej wyślągią ręce jałmużny godni, niech w żebrać łachmany nie przebiega się zępacie i spekulacje.

## III.

Wystawa odzieży i potrzeb (?) mieszkanych, wystawa higieniczna, wystawa szkiców — Warszawa pięknie wygląda w tym wieńcu z pionów, jak żniwiarza na dożynkach. Wartością każdego towaru jest zawarty w nim „kryształ pracy” — powiadają ekonomiści. Jest to najpiękniejszy kryształ ekonomiczny, jałmużni człowiek i społeczeństwo się zdoła. Wystawy mogą być ubogie, ale tkwi w nich społeczne to hasło wieku, które Gambetta nazwał najwyższem: *praca*.

Gezyas.

kis mi w przedostatnim numerze *Prawdy* robi p. Zbrucki, ex re mojej pracy drukowanej w *Więku* w d. 20 z. m. pod tytułem: „Kooperacya handlowa producentów rolnych.” Na zadane na wstępie pytanie: „Dlaczego rolnik u nas towar swój zazwyczaj sprzedaje niżej rzeczywistej jego wartości?” ostatecznie wskazuję dwie przyczyny: 1) że przy kupnie zboża kupiec ma za sobą for specjaliści w swoim fachu odpowiednio przygotowanego i rutynowanego, wówczas gdy rolnik występuje jako dyktant, przez którego sprawy handlowe traktowane są tylko przygodnie i 2) że u nas kredyty są trudny i stopa procentowa wysoka. Na pierwszą przyczynę p. Z. się zgadza, a sądzę mi się, że zastanowiwszy się, zgodziłby się i na drugą. Gdyby rolnik, potrzebując na razie pieniędzy, mógł ich łatwo i tanio dostać, nie potrzebowałby, dla wzięcia zaliczki, za bezcen sprzedawać produktu.

Dawszy powyższe, może nie nową, ale w każdym razie słuszną odpowiedź na pierwsze pytanie, zadaje inne ogólne, mianowicie: „Dlaczego u nas kredyty jest trudny i drogi?” Jako przyczynę tego smutnego dla całego naszego społeczeństwa fachu, podaję niewyrobienie się z miejscowego żywiołu potężnej klasy przemysłowo-handlowej. Im klasa ta umiejętniej potrafi obracać wypoczętym jej kapitałem, t. j. im ten kapitał w jej rękach jest bezpieczniejszy i większe przynosi korzyści, tem podaż ze strony kapitalistów jest większa, kredyty łatwiejsze a przeciętna stopa procentowa niższa.

Oto streszczenie mego artykułu w *Więku*. Na jakiej więc zasadzie dochodzi p. Z. do wniosku, jakoby wysnutego z moich wywodów, że tani kredyty może zastąpić fachuowców? Nie wiem, przypuszczam jednak, że chyba tylko bardzo pobieżne przejrzenie mojej pracy tegoż przyczyna. W takim jednak razie należy się wstrzymać z sądem.

W. Kuszell.

Do wniosku, jaki wyciągnąłem z artykułu p. K. drukowanego w *Więku* doprowadziło mnie zestawienie twierdzeń: że racjonalna organizacja kredytu, u nas dotąd zupełnie nielastniejsza, mogłaby w części złamać zaradki. *Alie tylko do pełnego stopnia ponieważ instytucje kredytowe nie są źródłem kredytu, lecz jedynie kanałami, którymi do ogółu dochodzi (kredyty).* „Samo źródło zaś wytrysnęło, i stanowiąca poprawa stosunków kredytowych nastąpi.” gdy ze rdzenną, miejscowego żywiołu wytworzy się potężna klasa bogatych przemysłowców i kupców, zwana zagranicą *la haute bourgeoisie*.

Korzystam ze sposobności, aby dokładniej rozwinąć mój pogląd na mniemania wypowiedziane przez p. K. w *Więku*, mniemania, podziałane przez bardzo wiele rolników.

P. K. mówi, że: „osoby, zatrudniające się tak przemyślelem jak i rolnictwem na własną rękę, zmniejszają się także dokonując pewnych czynności niemających związku z towarzyszącym ich fachem, od których resztki w bardzo znacznej części zależą wysokość zysków. Czynności te są: kupno materiałów surowych i sprzedaż artykułów już przetworzonych.” Wbrew słowom powyższym jestem zdania, że każdy przemysłowiec *już obowiązany umieć* kupować materiały surowe i sprzedawać swoje wytwory; umiejętność ta netylko nie jest pozbowianym zwiazku z jego fachem, ale stanowi część od fachu nieodłączną, konieczną. Rolnictwo nie jest czemś od przemysłu różnem, ale jest jedną z gałęzi przemysłu. Dla rolnika więc ta sama umiejętność jest niezbędną.

Ze liczba przemysłowców bogatych, potężnych i żywiołu rdzennie swojego pochodzących jest u nas bardzo mała, to prawda zupełna, mąga jednakże zastosowanie w mieście i na wsi, w przemysle fabrycznym i rolnym. Wina tego jest dyktantyzm. Nie umiemy kupować, nie umiemy sprzedawać, nie umiemy obliczyć ceny, rozpoznać koniunktury przyszłych i warunków obecnych. Kto pożyczka pieniędzy nie dla rozwinięcia swego fachu, ale bądź na swoje utrzymanie, bądź na zabawkę amatorską, ten płaci nie procent, ale lichwę. Sami o tam wiemy z doświadczenia, i dlatego też ci z pofórdsz ma, którzy mają pieniądze, o ile brzydziej się lichwą,

to nie chcą udzielić pożyczki swoim potrzebującym sąsiadom, bo czują, że powinni za swoje ryzyko pobrać ogromne odsetki.

Jestem od pesymizmu daleki, wierzę tedy, że w przyszłości liczba dyktantów się zmniejszy, liczba fachuowców powiększy na wsi i w mieście, w tem jedynie równieciu podziałem nadzieję p. K., że podówczas warunki kredytu wogóle łatwiejsze się staną. One i dziś są stosunkowo łatwiejsze dla przedsiębiorstw (rolnych i fabrycznych) prowadzących fachuwo. Proces znikania dyktantów przyspieszyłby się, gdyby im tani kredyty otworzył. Ale pospiech zbityczny w tym kierunku przyniesie szkody innego rodzaju, niełatwe do powrotowania. Szok i tani kredyty, otworzony niegdyś przez praski dyktantom poznańskim, odegrał rolę drożdży w tem piwie, które dziś poznańscy spijają. Ale rząd praski spodziewa się osadzić fachuowców — na roli od dyktantów wywołonych. Kogoby osadziła nasza *haute bourgeoisie*, gdyby zechciała finansową politykę pruską u nas zastosować? Dyktantyzm, to żywioł wróg naszego „rdzennie swojego” gołowi; przeciwniemu najostrejszy oręż zwrócił lichwę i łepid go wszędzie. Jeśli p. K. w moim artykule upatrzył dyktancie zbywanie, rad jestem, że przeciw niemu wystąpi; nawzajem i ja nie chciałbym zrzec się pełnienia takiego obywatelskiego obowiązku.

K. Z.

## WYJAŚNIENIE.

Stanoway Panie Redaktorze! Spodziewając się, że mi łaskawie udzielił miejsca w swem piśmie, spieszę z wyjaśnieniem szeregu fałszywych szczegółów, podanych w *Gazecie Radomskiej*, a dotyczących mojej osoby.

*Prawda* zaznaczać moje wystąpienie z *Gazety Radomskiej*, zrobiła uwagę, że jednocześnie gazeta powyższa, zmieniając *kierownictwo*, zmieniła także *zasady*. Wydawała rzeczony gazety, w odpowiedzi *Prawdę* na dwa wyrazy wyżej podkreślone, podał fałszywe, a nadto mało ubliżające wyjaśnienie. Z tego powodu czuję się w potrzebie sprostowania kilku zdań p. Rewolińskiego, broniącego tytułu *redaktora*, jak gdyby mu kto chciał go wydrzeć.

A co się tyczy mnie, ale jestem labownikiem tytułów, a więc mało dbam o to, jak będzie nazwany rodzaj mojej pracy w *Gazecie Radomskiej*, polegającej na kompletnem prowadzeniu części literackiej tego pisma.

O obecnym *zasadach Gaz. Rad.* nie wiem, gdyż po ustąpieniu nie miałem sposobności jej czytać (oprócz nr. 87, przypadkiem mi dostarczonego). W ciągu zaś swojej osiemnastolecznej pracy czuwałem nad tem, żeby pismo nie stało się przytulkiem antysentyzm i klerykalizmu, tudzież, żeby nie ślażyło sprawom prywatnym.

Szkoda, że p. wydawca nie wle, co się działo w redakcji podczas jego dwumiesięcznej nieobecności. P. Skrodky, powołany do współpracoownictwa, oprócz robitenia wiadomości politycznych i układania anegdotów bawił się jeszcze w ustawodawstwo, tworząc przepisy dla członków redakcji i nadając im rozmaite tytuły; przy tej sposobności siebie nazwał *wyjątkiem gazety*, a następnie *redaktorem zapasowym* \*). Ale i tym razem, ja, pomimo ciężkiej choroby, czynności swoje nadal spełniałem, z tą tylko różnicą, że mi przybyło sporo pracy z powodu mroźniejszego poprawiania wypracowań p. Skrodzkiego. Ten zaś orzeczał aż do chwili mego ustąpienia pozostawał w zapasie. Wreszcie kiedy opuścił redakcyę, wręczyłem p. Rewolińskiemu około 30 artykułów p. Skrodzkiego, niekwalifikujących się do druku.

Przy tej sposobności przynajm. Sk. Redaktorze wyraz szacunku i powatania.

Zenon Plekiewicz.

## O PRAWDE.

Stanoway Redaktorze! W imię zasady, wyrażonej w nagłówku pisma pańskiego, proszę o umieszczenie w niem obrony od zarzutów, ja-

\*) Rzeczono ustawy mam dotychczas u siebie, pisane ręką p. Skrodzkiego.

## KRONIKA BIEŻĄCA.

**Oberpollmajster m. Warszawy** wskutek odezwy Inspektora szkół miejskich, polecił komisarzom rygorystycznym zająć się niezwłocznie sprawdzeniem, kto i gdzie miało miejsce najmniejszą nauczytelniem prywatnym. Nadto poleconem zostało wyjaśnić, iż rodzice i opiekunowie nie mają prawa przyjmować ani wychowawcy, ani nauczycieli, którzy nie posiadają świadectwa od władzy naukowej.

**Minister oświecenia** polecił, aby na przyszłość obok uchwał zapadłych w wydziale uniwersytetu wskazano głosów, komunikowano zarazem władzy zdanie mniejszości członków fakultetu, przyczem wymienione być mają nazwiska głosujących.

**Pensjańska p. Czeskie** w Warszawie z rozporządzenia władzy została zamknięta.

**Przytułek** bieżący przy ulicy Pawiej tak jest zaplanowany, że powstał projekt założenia drugiego. Przy sprawdzeniu stanu bieżącego okazało się, że około 35% nie powinno domagać się milosierdzia publicznego. Fundusz przytułku wynosi obecnie 8,000 rs.

**Wystawa szlifier** otwarta została d. 24 b. m. Znaczna ilość przedmiotów z zakresu sztuki stosowanej do przemysłu znalazła nabywców jeszcze przed jej otwarciem, jednakże luki natychmiast wypełniono przysyłkami nowymi.

**Wystawa sprzętów i odzieży** w Muzeum przemysłowem została otwarta w dniu dzisiejszym.

**Konkurs fortepianowy** przy Towarzystwo muzyczne wyznaczony na rok 1886, został rozstrzygnięty. Z nadesłanych 44 utworów odrzucono bezwarunkowo 27. Z pozostałych oddzielono 7, noszących znamię dobrych studiów lub zdolności, ale jeszcze nieodpowiednich do nagrody; tytuły ich i motta ogłoszone dla rachety autorów do prac dalszych. Trzy utwory, „Suite A mol”, „Waryacje Cis mol” i „Chaconne C dur” wyróżniono jako zasługujące na trzy nagrody w porządku wyżej wskazanym, lecz nieodpowiadające warunkom, gdyż autorowie nagrodzili w nich znaczne trudności techniczne, a konkurs był ogłoszony na utwory wymagające średniej techniki fortepianowej. Pierwsza nagroda pieniężna nie została przyznana żadnemu z nadesłanych utworów, druga otrzymał „la Gavotte” p. Pawła Romaszki, a trzecia „Krakowiak A dur” p. Leokadii z Myszyńskich Wojciechowskiej.

**Wyżyskiwanie** włofien przy pokatnych doradcach wykazało, jak donoszą z Petersburga, uchwale, aby wszelkie prośby, podawane przez włofien do Instytucji rządowych, opatrzone były imieniem i nazwiskiem, wskazaniem zajęcia i miejsca zamieszkania układających i przeplajających je. Bez wypełnienia powyższego warunku prośby będą zwracane. Za fałszywe zaś podanie nazwiska i miejsca zamieszkania radęgających lub przeplajających, osoby wymienione będą podległe do odpowiedzialności sądowej. O nieprawidłowości i bezprawnej działalności obrodców prywatnych i adwokatów przysięgłych Instytucje włofiańskie powiatowe i gubernalne winny zawiadomić prokuraturę sądów okręgowych celem dochodzenia dyscyplinarnej.

**Dla zapobieżenia** podpaleniom postanowiono, aby wszelkie ubezpieczenia, nawet najmniejszych budowl, były dokonywane przez inżynierów powiatowych lub urzędników umyślnie delegowanych, nigdy zaś przez pilsary gminnych, jak to się dotychczas praktykowało. Nadto wszystkie dawniejsze wykazy mają być przejrane, a oszacowania wyższe nad wartość uleż obniżeniu.

**Straty** zrządzone przez pożary w symantymyko-polecie mławskim od początku r. b. oblicza Kor. Poci na rs. 237,132.

**Strachy ognistawa.** Politechnicy rosyjscy, jak donosi Kur. odc., wykonali szereg prób z dachami słomianymi, napojonymi glinką i otrzymali wyborne rezultaty, zarówno pod względem wytrzymałości wobec ognia, jak nieprzepuszczalności pod działaniem wody, lekkości i t. p. Za materiały służy plecionka słomiana, której przesyłać podwieśzać stóp dzielone mogą zrobić dwie kobiety większe na zwykłych krosnach. Plecionki trzeba w rożnowie gliny, oczyszczonym z piasku i tak gestym jak dobra śliska, moczyć dopóty, aż glinka wypłynie słomę, a następnie wysuszyć.

Kara by zastępcę nauczyciela szkoły demitabiaru w Tuczepach, w powiecie stopnickim, K., za objęcie włosek w charakterze urzędnika jakoby wysła-

nego z Petersburga w imieniu rządu spisywania dla włofien w celu nowego podziału gruntów, wyrokiem sądu okręgowego kieleckiego z d. 18 b. m. pozabawiono został wszelkich praw stanu i skazany na 8 miesięcy więzienia. Donosi o tem *Gaz. kielecka*.

**Parcelacya.** Bieżące, jeden z większych majątków w lubelskim, rozparcelowane zostały na kilkanaście kolonij rozmaitej przestrzeni.

**Ofiara.** P. Bogusław Wydiła, właściciel ziemski z hrubieszowskiego, zawiadomił *przez Gaz. lubelską*, że na mające powstać gimnazjum realne w Lublinie ofiaruje po groźni z morga swej posiadłości przez lat dziesięć i gotów jest ofiarę tę zabezpieczyć aktem hipotecznym.

**Towarzystwo kredytowe** miejskie w Plocku. Założyciele tego towarzystwa zebrali się w magistracie miejscowym i będąc zawiadomieni o zatwierdzeniu przez rząd ustawy, upowładnił p. G. Kühna do przyjmowania podań od osób, mogących przystąpić do stowarzyszenia, oraz upowładnił pp. Chałczyńskiego, Kühna i Szuberta do zawarcia umowy, dotyczące się wygotowania listów zastawnych.

**Nadużycia na poczoło.** Niektórzy prenumeratorowie *Gazety świętockiej*, wnosząc pieniądze na opłatę tej gazety, otrzymywali kwity z prywatnego kwituryzacji, zamiast pocztowych i następnie oczywiście gazety nie odbierali. Jeden z poszkodowanych nadesłał kwit taki redakcji wspomnianego pisma.

**Dwie zbrodnie** z jednakich pobudek zdarzyły się w Warszawie w bieżącym tygodniu. Ofiara jednej z nich pán p. Edmund Relostien, rzadca szpitala Działalności ferus od lat 25. Zamordował go d. 22 b. m. na korytarzu szpitalnym Stanisław Doblesz, wyłomnie ze szpitala posługując, ugodziłwszy nożem kilkakrotnie. Mordercę powychowano. Ma lat 24, jest nieślubny. Przykład Doblesza podzielał niezwłocznie na Włodzimierz Jabłoński, który będąc usunięty przez p. Borejkę z posady zarządzającego sklepem wódek przy ulicy Brackiej i nie otrzymawszy odpowiedzi na swój list z prośbą o kilka rubli na wyjazd z Warszawy, zaczął się na rogu Kruczej i Nowogrodzkiej i do przechodzącego Borejkę trzykrotnie strzelił i rewolwerem. Jeden strzał zadł lekką ranę w prawą rękę, dwa inne chybiły. Jabłońskiego aresztowano.

**Wypadek cholery** azjatyckiej zdarzył się we Wrocławiu. Przywiózł ją z sobą górnik rodem z Węgier. Zmarł. Ks. Piotr Semeniak, znany generał kasyno Zwartychwastów, d. 18 b. m. w Paryżu. Osob-

listy przyjaźle Mickiewicza, Krasieńskiego, Witkiewicza, Zaleskiego. Ur. w r. 1814, wychowańcem ułw. wileńskiego, w r. 1837 wyjechał z ks. Hieronimem Kajetanicem do Raymu i oddał się teologii. W r. 1845 obaj utworzyli w Raymie zakon Zwartychwastów Drukłem ogłosili „Biesiady filozoficzne.”

— Jan Scherr, ur. 1817 r. w 1846 emigrował z Wittenberga do Szwajcaryi. Od 1860 r. objął katedrę literatury i historii w politechnice zurychskiej. Napisał wiele dzieł historycznych i literackich.

— Róża Jokala, znaną słynnego powieściopisarza węgierskiego, Maurycego Jokala, niegdyś aktorka.

## ODPOWIEDZI REDAKCYI.

**P. Zofia K.** Słusznie do określenia przesady patriotycznej, a na pochodzid od Chauvalne'a. Scribe wjeżdżał ze swych sztuk upostaciwoł tę namolność.

**P. Marj.** 1) Niektórzy są ale dla nas, niektórzy przenoszą pracę naukową i literacką; 2) należał do szkoły Epikura.

**P. w Kijowie.** A cóż to wszystko naszych czytelników obchodziło może?

**P. R. W.** Tak doniosły gazety rosyjskie, ale uwaga pańska jest słuszną, że język wykładowy ma być zmieniony w Dorpacie i Inflantach.

**P. Bronisł.** S. Słownik Choźki, gramatyka Ahna lub Robertsona.

**A. B. Wiersz** ten jest raczej ślgem Heliego niż utworem artystycznym; pomieszczać więc jego osoby przekład w *Przeglądzie* — byłoby dość dziwnem, zwłaszcza że przekład ten jest bardzo słomny.

*P. Jós, Wal. Seiberta 1875.*

## OFIARY.

*Dla Studentów, kop. 50.*

*Na kasę imienia Mianowskiego. W, kop. 50.*

*Na Szkołę rzemieślniczą przy ul. Jamej. Jabłkowski rs. 1.*

## O g ł o s z e n i a .

Departament Handlu i przemysłu St. Petersburg Nr. 1360.

Broszurka bezpłatna



Gwarancja długoletnia

„EXSICCATOR”

Zabezpiecza wszystko co z drzewa od gnioja, niszczy grzybek drzewny, osusza wilgoć w starych domach i zabezpiecza nowe. Oszczędność. Zastępuje olejną farbę w wszelkich kolorach i tańszy od tejże o 50%.

Inżynier RITTER, Warszawa, Królewska Nr. 39.

Poszukuję agentów.

## Portrety Olejne

w różnych rozmiarach i cenach (biusty stosownie do wielkości od rs. 45 do 85) wykonywa z fotografii i z natury

Pracownia Artysty Malarza  
GUSTAWA HEIMANN  
w Warszawie, Chmielna 21.

poręczając tak zupełnie podobieństwo i artystyczne wykończenie. Portrety są do obejrzenia na miejscu, równie bywają wystawiane w *sal. Wypisy Warsz.* tom. *Sztuk Pięknych*. — Zamówienia miejscowe i z prowincji uskuteczniają się punktualnie na czas oznaczony.

3—3

W Administracji *Prawdy* złożono do sprzedania 1 egz. Ogniska w ogólnym oprownie i tygodnik *Prawda* za r. 1881, 1882, 1883, 1884 (estery tomy w oprownie) i r. 1885 (tom nieoprowny).

Dozwożono Cenzurą. Warszawa, 14 Połipca 1886 r.

## Student uniwersytetu

poszukuje korepetycy, lub innego odpowiedniego zajęcia. Może również udzielać początków niemieckiego i francuskiego. Oferty pod literami W. W. składać można w redakcyi *Prawdy*.

## Makładem Prawdy

wydana została i jest do nabycia książka p. t.:

**MECZENICY MYŚLI.**

Cena rs. 1. (wraz z przesyłką pocztową).

Prenumeratory „*PRAWDY*” otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.